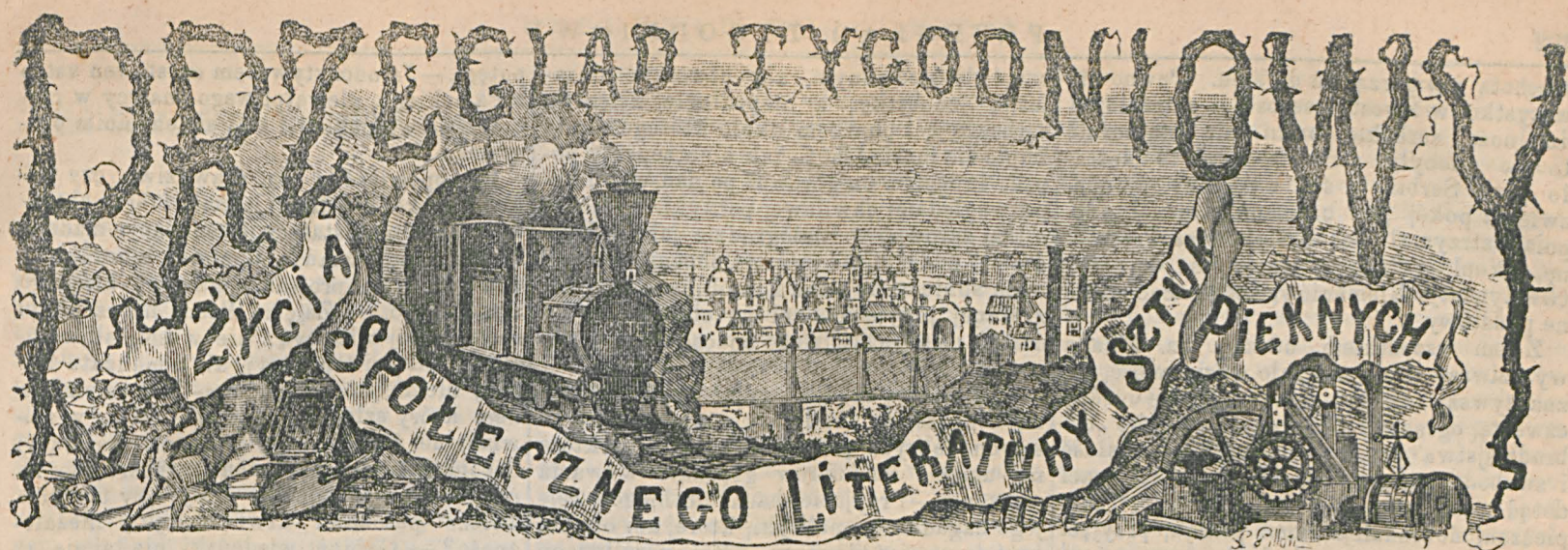




Warszawa d. 27 Sierp. (8 Wrześ.) 1878.

N^o 36

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Niepodległość Serbii. — Nie bierz tego co nie twoje. — Bogusław Radziwiłł Kalickiego. — Stronictwa w społeczeństwie, przez Feliksa Bogackiego. II. — Walenty, przez Emila Zolę. — Kronika Krakowska. — Kongres leśny. — Kronika Po-wszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości handlowe. — Do wszystkich. — Echa XXXVI.

Niepodległość Serbii.

Jeszcze zwierzołni pan lennego księstwa Serbskiego, turecki padyszach, nie podcyfrował berlińskiego traktatu mocą którego stare carstwo Duszana odzyskało niepodległość, a już książę Milan w gorącej odezwie ogłosił ją narodowi. Serbowie po dwuletniej mściwej wojnie, po wytoczeniu z swej piersi potoków krwi, po przecierpieniu strasznych klęsk, po gorzkich chwilach zawodu, po wątpleniach niepowodzeń — dożyli narreszcie dnia, który im pozwolił z pewną dumą zaznaczyć: iż spełniając swą względem ojczyzny powinność, są znowu narodem niepodległym, o rozszerzonych granicach, z trudnem ale ohlubnem na przyszłość zadaniem — oswobodzenia reszty braci. Dzień ten drogi dla Serbii godzi się uczcić wspomnieniem tam wszędzie, gdzie pomyślność swobodę odzyskującego narodu budzi sympatyczne uczucia. Tem to łatwiej nam uczynić teraz, że i nasze społeczeństwo, w pełnym spokoju śledzące za grą olbrzymich na wschodzie wypadków, dziś zrozumie lepiej, oceni bezstronnie niż przed dwoma laty powody, które nas po stronie walczących za swą niepodległość Serbów, lub innych słowiańskich w Turcyi narodów stawiają. Nie hołdując bezwzględnej sile, nie schlebując wyłącznym interesom, mamy święty obowiązek łączyć się z tem wszystkiem co urzeczywistnia szlachetną zasadę, coraz bardziej uznawaną w pospolitem prawie cywilizowanego świata.

Niewątpliwie w początkach wojny, kiedy pełni złudnych nadziei Serbowie, do strasznej stanęli walki, kiedy drobna Serbia idąc za głosem swych praw narodowych, zaczęła potężną Turcyę — tysiące sprzecznych interesów, namietności i wspomnień, mogły obalamować sąd opinii publicznej, mogły krzywić jasny pogląd na istotę sprawy. Sądono Serbów tylko jako proste narzędzie, jako wykonawców cudzych zamiarów i pretensyj. Zapominano, że po nad namietnościami i interesami chwili panuje wyższa zasada, której nie możemy zapoznawać dla wątpliwych wspomnień, lub nawet długów wdzięczności i że oddając co komu należy, nam nie w obozie serbskich przeciwników być należało. To też możemy

z pochlebną dumą zaznaczyć, iż po pierwszym ważeniu się opinii, takowa przechyliła szalę swych sympatyj na stronę walczącą o wolność, o swobodę, o to wszystko co drogie każdemu żyć chcącemu społeczeństwu. Wkrótce się też przekonano, że drobna Serbia usiłująca oswobodzić swych braci z pod tureckiego wladztwa, porwała się uniesiona więcej zapalem niż rachubą, że jej zdziśiatkowane szeregi nie wytrzymały dzielnego naporu wojsk broniącej się potężnej Turcyi. Szabla zwycięskiego Kieryma po zajęciu Alexinacu, już zwróciła się w stronę nieszczęsnego Białogrodu i pewno przewaga turecka dałaby się srogo uczuć serbskim karkom, gdyby stanowcze słowo Rossyi nie było powstrzymało śmiałych kohort padyszacha od wkroczenia w serce Serbii. W tych smutnych dniach październikowych, kiedy z jednej strony odgrywała się nędzna obozowa komedia ogłoszenia „serbskiego królestwa“, a z drugiej ministerstwo belgradzkie zawierać musiało upokarzający pokój z Turcyą, w tych smutnych dniach wzrosły zapewne jeszcze sympatye dla nieszczęśliwego narodu, który zamiast tryumfów zebrał klęski, zamiast radości — cierpienia, zamiast niepodległości — podpisywał akt głębszej niewoli. Dziś kiedy siły Turcyi ujawniły się w olbrzymiej walce z Rossyą, kiedy bośniackie powstanie mużmańskie zaprzęta cztery korpusy dobrze wyćwiczonej armii austriackiej, lepiej rozumiemy niebezpieczeństwa na jakie się Serbia narażała, i to że nie miękkość żołnierza ale przewaga liczby i szczerzy zapal męstwa tureckiego wojownika, klęsk serbskich były powodem. Ułedz przewadze najlepszych batalionów, które potem pod Plewną wszelkie wysiłki całej armii bohater-sko wstrzymywały, nie jest dla słabszych poniżeniem, nie jest stratą godności. To też Serbia z pierwszej wojny wyszła osłabiona, rozbita, urok jej w oczach pobratymców mógł zmaleć — ale sprawa serbskiego narodu nie doznała ujemy, a sympatyczna życzliwość dla Serbii nie ochłodziła przynajmniej tam, gdzie nie mierzą swych uczuć miarą powodzenia.

Nie skończyła się też rola Serbii pokojem zawartym z Turcyą, bo nie zamknęły wypadki rozwijające się na półwyspie Bałkańskim. Wojna Turcyi z Rossyą dała sposobność narodowi serbskiemu pozyskania u-

gdzie się rozciągało dawne wladztwo serbskich carów; a uregulowanie spraw na pokoju berlińskim, obdarzyło Serbię zupełną niepodległością. W tym końcowym okresie Serbia zostawiona była sama sobie. Jakkolwiek tureckie wojska w większej części nieregularne, słaby już stawiały opór, armia serbska dowiodła jednak, iż zostawiona własnemu dowództwu, umie spełniać swe obowiązki. Rozporządzenia sztabu były wykonywane ściśle i chętnie, żołnierz trzymał się w boju dobrze, a wzięcie Nizu jest bezsprzecznie zasługą jego waleczności. Wśród trudności jakie na kongresie berlińskim wynikły, znów uwidoczniło się odosobnienie Serbii; traktat San Stefański przyłączał Piro do Bulgaryi, co srodze bolało Serbów. Wpływ popartej przez Niemcy Austrii, która wszelkimi sposobami usiłuje Serbię wciągnąć w sferę swych interesów, usunął trudności co do Pirotu, który został przy państwie ks. Milana. Były to jednak znów chwile ciężkie, dowodzące że Serbia zostawiona sama sobie liczyć musi na własną pomoc, na siłę własnej narodowości, na korzyści położenia. Dzienniki rossyjskie rozbierając sytuację, bez ogródki oświadczyły, iż pod obecnym rządem skłaniająca się do Austrii Serbia wychodzi z pod opieki Rossyi, że wszelka czułość narodu rossyjskiego musi się skupić tylko na dzielnych Czarnogórcach — że naturalnie pominiemy Bulgaryą, której organizacya zupełnie zostaje, jak dotąd, w rękach rossyjskich.

W takich okolicznościach 22 sierpnia ks. Milan ogłosił uroczystą odezwę do narodu, w której niezależność Serbii jako główny wynik szczęśliwej wojny podaje. Czytając ten dokument, ażeby go osądzić musimy się zrzec odrębnego stanowiska, a postawić na miejscu księcia Serbów przemawiającego do swego narodu. Jeżeli samochwalstwo tam razi, musimy pamiętać że naród, który stracił kwiat swej młodzieży w nierównej walce, który przyniósł na ołtarz ojczyzny znaczną część swego mienia, inaczej się zapatruje na swe drobniutki zwycięztwa pod S. Mikołajem, Akpalańką, Pirotem, Nizem, Gzdelicą, Wranją, niż my oddaleni i spokojni, niż my obcy i obojętni. Książę Milan na początku swej odezwę mógł i miał za co dziękować swym żołnierzom, iż po klęskach poprzedniej kampanii, w surowości strasznej zimy szli

z ochotą i w porządku do boju. Pewno nie wszystko w kwestyi serbskiej zależało od dzielności serbskiej broni, ale ostatecznie to co zdobyły serbskie ręce to zostało przy Serbii, a żal wyrażony w odezwie iż pokój pod bramami Konstantynopola wstrzymał pochód Serbów na Presztynę, Skoplę i Prizren, starożytne dziedzictwa dynastji Niemaniów, mógł mieć słuszne podstawy.

Z tem wszystkiem, odezwa ks. Milana wyraziwszy komu należało wdzięczność, zaznaczywszy iż Serbia zwiększyła się o jedną czwartą, ogłasza swemu narodowi jako „dobrodziejstwa” pożądane: pokój, niezawisłość i swobodę znacznej części serbskiej braci dotąd zostającej pod obcym jarzmem. „Ubezpieczeni dobrodziejstwami pokoju, przyjeżdż do koła państw niezawisłych, wzmocnieni solidarnością z naszymi nowymi obywatelami, bronieni w nowych umocnionych granicach, otrzymaliśmy nowe i trwałe podstawy pożądanego dalszego rozwoju.” Tak sądzi odezwa inaugurująca niezależność młodego państwa i byłoby dobrze dla Serbii, gdyby te słowa mogły się stać prawdą. Ale wypadki niestety nie idą w tym kierunku. Kwestya wschodnia daleką jest jeszcze od ukończenia; to wszystko co się na półwyspie Bałkańskim dotychczas stało, musimy uważać jako tymczasowe, przechodnie. Serbia nie raz jeszcze zapewne będzie powołana do wzięcia udziału w dramatach historycznych, których sceną stanie się półwysep. — Nieodbiegając nawet w odległą przyszłość, dziś zaledwie słowo niepodległości i pokoju wymówionem zostało w Białogrodzie, u granicy stanęły zbrojne kupy przez Turcję stworzonej ligi arnautów, mające pewno na celu najprzód rabunek i pożogę, a następnie zniszczenie serbskiej niepodległości i zabór nowych serbskich zdobyczy. — Lecz od tego nieprzyjaciela zapewne Serbi się obronią — gorszy los grozi ich niezawisłości od strony austriackiej. — Stosunek Serbii do Rakuzko-madziarskiej monarchji wykreślają dzieje. Większa połowa serbskiego narodu zostaje pod berłem Haubzburgów, przyciśnięta i powalona przez madziarizm. Lecz gdyby nawet Serbi austriacycy znajdowali się w lepszych niż są warunkach, gdyby nawet ich narodowość w niczem nie ucierpiała, to i tak dążenie do spójni, do niezależności leżałoby w naturze rzeczy. Serbski naród liczący razem około czterech do pięciu milionów głów,

czuje się dość silnym, aby utworzyć niezależną jednostkę, a niepodległe księstwo serbskie jest punktem około którego reszta kupić się musi. Jest to tak nieprzeparty popęd, iż będzie on górował po nad wszelkimi względami chwilowej polityki. — Wiedzą o tem zarówno w Białogrodzie jak w Wiedniu i zdaje się że pomimo obecnie prawionych sobie z obu stron komplementów i okazywanej przyjaźni, ani na chwilę nie ludzą się co do właściwego znaczenia tych objawów.

Opowiadają iż przed wyjazdem do Berlina na kongres, hr. Andrassy miał z jednym ze swych dobrych przyjaciół rozmowę, która na umyśle madziarów głębokie wywarła wrażenie. — Przyjaciel badał hrabiego o cele jego zagadkowej polityki, której ani on, ani kraj zrozumieć nie mogą. — Zniecierpliwiony minister, wyjął ze swej biblioteki bogato oprawny tom i rozłożywszy go na jednej ze stron, kazął przyjacielowi czytać. — Był to Palackiego historyczny opis napadu madziarów na słowiańszczyznę zachodnią. — Młode morawskie państwo Światopełków, zaczęło się już wytwarzać w potężne ognisko do którego ciążyły zarówno od wschodopółdnia jak i wschodopółnocy rozmaite słowiańskie plemiona. Państwo to w dalszym rozwoju niezawodnie mogłoby się było stać łącznikiem między rzymskim a wschodnim cesarstwem i odegrać w losach Europy ogromną rolę słowiańszczyźnie przypadłą na udział — lecz wtargnięcie dzikich kup madziarów zabiło słowiańską potęgę w zarodku, rozsadzając jak klinem młody niedobrze jeszcze spojony organizm. Odtąd czesi, słowacy, polacy tracą poczucie związku z ludami południowo słowiańskimi. Rozbici na jednostki zużywają swe siły na starcia z żywiołami obcemi lub plemienne, na utrzymanie drobniuchnej swej niezależności i narreszcie podpadają pod jarzmo obce: na południu madziarsko-tureckie, na północy niemieckie. — Gdy przyjaciel zdziwiony skończył czytać, — rzekł minister: „To co nasi przodkowie kierowani bezwiednym instynktem zrobili przed wiekami, to nam madziarom trzeba dziś zrobić z samowiedzą, jeżeli chcemy utrzymać nasze istnienie. Jak tłumy Arpada wbiły się w serce Światopełkowej słowiańszczyzny, tak i my musimy się wbić klinem między powstające u naszych granic nowe organizmy słowiańskie, aby nie dopuścić ich wzrostu i dojścia do groźnej

potęgi. — Ja odczytywałem często ten ustęp z Palackiego, niewątpliwego znawcy w rzeczach słowiańskich i stał się on moim programem.”

Czy opowieść ta jest prawdziwą czy tylko bajeczką, nie mniej jednak dobrze charakteryzuje ona ostateczne tendencje madziarizmu i odpowiada zupełnie kierunkowi polityki jaką prowadzi gabinet hrabiego Andrassego. — Zajęcie Bośni nie z akcyi równoległej z Rosyją, nie w imię słowiańskich Austrii tendencji, ale z mandatu Europy niemiecko-zachodniej — jest owym klinem który szlachetny hrabia wbija w słowiańskie serce. — Czy w obec takiej akcyi Serbia nie jest narażoną bezpośrednio na madziarsko-niemieckie ciosy, czy utrzyma świeżo potokami krwi zdobytą niezależność? — Gabinet wiedeński nie tai się iż zmusi Serbię do zawarcia z Austryją traktatów wojskowo-celnych, które w rzeczywistości niczem innym by nie były, jak tylko ugrzecznioną formą władzy zwierzchniej względem lennego wasala. A tak władztwo tureckie zmieniliby Serbowie na gorsze jarzmo madziarsko-niemieckie, za czem poszłaby nie tylko niewola polityczna ale i ekonomiczna.

Wypadki idą szybko i my możemy być świadkami nie jednego faktu, który zmieni postać rzeczy w tamtejszych okolicach. — Dziś już rzekoma przyjaźń Austrii, jej słodkie słowa które okrywają jakieś żądania od rządu Białogrodzkiego, budzą w tym kraju niezadowolenie, sprowadzają trudności i kryzysy gabinetowe o walce stronnictw świadczące. — Na pole działania znowu występuje Omladina, a jak wiadomo jest ona dla Austrii wrogo usposobiona. — Zdaje się więc że Serbię czekają jeszcze nie małe przejścia, zanim się ujrzy jeśli już nie u celu — bo ten daleko — ale chociaż na etapie odpoczynku. — Spodziewamy się jednak, że koniec końców, tryumf zasady narodowości obchodzącej dziś w tym kącie Europy pierwsze swe zwycięstwo, zapewniony zostanie. — Z tego powodu nasze sympatye są zawsze przy Serbii, jako przy organizmie żywym i pełnym narodowej przyszłości.

ECHA WARSZAWSKIE.

XXXVI.

Kilka żywszych słów zeszłego feljetonu o sprawach miejskich wywołały sprostowanie ze strony pana Prezydenta miasta. Komunikat ten dość obszerny doszedł rąk naszych za późno, aby mógł znaleźć miejsce w obecnym numerze. Wydrukujemy go w przyszłym pod osobną rubryką, którą zamierzamy prowadzić stale dla spraw miejskich. Zapowiadany samorząd Warszawy wymaga wyjaśnienia wielu kwestyj dotyczących naszego grodu a to aby ogół nabrał dostatecznego w tym kierunku sądu i wiedział z jednej strony komu poruczyć reprezentację swych interesów, oraz czego można wymagać po miejskim zarządzie. Wymaga to naturalnie szerszego miejsca w piśmie, gdyż przekonał się iż dorywcze traktowanie felietonowe tych spraw naraża nas na popełnienie usterek i nie daje dokładnego materiału do wyrobienia sobie zdania o danej kwestyi, co jak powiedzieliśmy, ze względu na oczekujący nas samorząd miejski jest koniecznem w interesie samych mieszkańców i miasta.

Moje Panie, jest tu do zrobienia interes — interes na prawdę. Proszę Was bliżej, oczki na dół, usteczka zesnurować i posłuchać uważnie! Odebraliśmy następujący list:

Z głębi Rosyji.

Polak, dwudziesto-ośmio letni kawaler, bez obrzydliwych nałogów: pijaństwa, tytóniarstwa i szulerstwa, mający dwanaście lat służby urzędowej, odpowiednią rangę i order Św. Stanisława, 800 rubli rocznie stałej gaży od korony (Mn. sprwdl.), fotograficzny zakład i dyplomy w dwóch gałęziach wiedzy specjalnej, nie znając osobiście nikogo ani w Królestwie ani też na Litwie, za pośrednictwem niniejszego ogłoszenia chciałby znaleźć w tych krajach pannę za żonę dla siebie, pannę która byłaby przystojną Polką lub Litwiną rzymsko-katolickiego wyznania, nie starszą nad lat dwadzieścia, gospodyni domu miłującą trud, skromność i domowe życie, która miałaby dyplom z ukończonych nauk w gimnazjum lub w innym równej skali naukowym zakładzie, i oprócz wyprawy, posiadałaby fundusz na wydatki podróży i na zaprowadzenie gospodarstwa niezbędnego w każdym familijnym domu.

W żonie choć znaleźć wspólność dążeń, przyjaciela i współpracownika, a nie lalkę ani mebel w domu, lub pasorzyta — myślącego tylko o samych strojach i balach.

Dla pańien tego usposobienia, a także nałogowych, fizycznie ułomnych i moralnie upadłych, propozycja moja nie służy. Listy ze świeżo zdjętymi fotografiami en face i w pełnym profilu, proszę adresować do m. Temnikowa Tambowskiej gubernii, do fotograficznego zakładu L. Dąbrowskiego.

Mające rodziców lub opiekunów, zgłaszające się mogą za ich pośrednictwem.

Ogłoszenie to będzie służyć do zawiadomienia o zawartem małżeństwie jeżeliby takowe nastąpić miało, poczem wszystkie otrzymane listy i fotografie będą zwrócone ich właścicielkom podług wskazanego przez nie adresu. Dla zapobieżenia zaś obcej ciekawości i pewności że dojdą przeznaczenia, listy z fotografiami radziłbym posyłać zarekomendowanymi.

Przedrukowanie artykułu tego w innych pismach byłoby bardzo pożądanem.

I cóż wy na to? Ha widzę dobrze jak nie jedna z was parska śmiechem ironicznym. — Co? ja mam się starać o męża gdzieś tam o tyśiąc wiorst, a gdzie moja godność, a gdzie moja kobieca duma.

— Moja pani powoli; powiedz co jest godziwsze i lepsze, czy ten szczerzy list ołówek szukającego dożgonnej towarzyszki, odzywającego się otwarciem ze swemi życzeniami, spowiadającego się ze swych myśli, czyli też owe ukryte zamiary licznych kon-

Nie bierz tego co nie twoje.

Przed nami leży wielka paka dużych i małych warszawskich polityczno-codziennych dzienników... Musimy peryodycznie to ptactwo oskubać, aby się przekonać ile w ich lśnięciu upierzeniu jest piórek własnej pracy a ile... cudzych. To znaczy, ile też każda redakcja organu codziennego kładzie w swe pismo swego trudu, a ile, mówiąc grzecznie — o! bo o tym przedmiocie traktując, grzecznie być trzeba — zapożycza u innych. Pod wyrazami „praca własna” nie rozumiemy wcale wyrobu przez redakcję „własnych” kierunków lub idei, tak na polu politycznym, jak społecznym, ani nawet literackich lub artystycznych sądów, na które się ogół w swem zdaniu ogląda — nie, niczego podobnego nie śmielibyśmy wymagać od szanownych warszawskich redakcyj. Nie, my chcemy tylko wzięść tym razem pod uwagę materialną stronę przedmiotu i przekonać się ile artykułów w naszych pismach jest napisanych ręką redaktorów, członków redakcji, współpracowników, a ile przepisanych lub poczerpniętych, oraz przedrukowanych z pism innych.

Otóż przebrnąwszy przez ową wielką pakę gazet i rozsortowawszy kupę nagromadzonych tam materiałów według pochodzenia każdego z nich, przychodzimy do oczywistego wniosku, jako najszczęśliwsi u nas literackim położeniem jest redagowanie codziennej politycznej gazety.

Wypada to bowiem najtaniej pod względem wydatku umysłowego i pieniężnego. — Że mamy słuszną, zaraz dowiedziam.

Oto jest bowiem fakt, któremu nikt nie zaprzeczy kto przejrzy i porówna z sobą choć z tygodnia codziennie pisma warszawskie: wszystkie przepisują się nawzajem, a główny ich korpus powstaje z przedruków. Rzecz zadziwiająca ale prawdziwa, iż każda wiadomość, czy to zaczerpnięta z zagranicznego dziennika, czy też zdobyta przez którego z szczęśliwych reporterów na warszawskim bruku albo na niwie krajowej, przechodzi kolejno przez szpalty wszystkich warszawskich dzienników, a zaszczyt ten nie mija nawet i rozmaitościowych curiosów, anegdotek i ploteczek. Jeżeli dzisiaj *Kurier Warszawski* napisze, iż w Indjach wschod-

nich ułowiono pełną wielkości gęsi i że egzemplarz wypchany wkrótce zbogaci warszawski gabinet zoologiczny — można być pewnym, że tak prawdziwa wiadomość z rzadką krytyczną wiedzą, jutro powtórzoną zostanie przez *Gazetę Warszawską*, po jutrze przez *Gazetę Polską*, a nazajutrz *Echo* zrobi z niej sążnisty artykuł. Idąc tak dalej w dwa lub trzy tygodnie będziemy o tem czytali w *Kurjerze Porannym*, lub też zapominając o źródle powtórzy ją znów *Kurier Warszawski*. — Mówimy to na seryo — nie w przenośni i gdyby rzecz była warta pracy, moglibyśmy chronologicznie dowieść obiegu każdej bez wyjątku wiadomości lub anegdotki w naszej prasie. Operacja wygląda na wzajemne zjadanie sekrecji — o! przepraszam! porównanie niestetyczne, ale rzecz małe kompletne. W każdym razie dowodzi to wielkiego u nas literackiego głodu, ale zarazem świadczy iż umiemy poprzestać na małym, jak owe przeżuujące zwierzęta, które potrzebują zjeść dużo siewki, ubogiej w istotnie pożywne materye.

W tym trybie rozwiązana jednak została inna jeszcze trudność: jak za pomocą kilku reporterów i quasi literatów obsłużyć liczne pisma i obdzielić je ciągle „świeżem” pożywieniem. Ale jeżeli uśmiech litości wzbudza tego rodzaju postępowanie, to inne nieco uczucie rodzi szeroko praktykowana metoda przedruków. Co rano widzę okiem mojej duszy, jak się wyrażają idealisci, redaktorów wysokich i niskich, chudych i brzuchatych z czerwonym ołówkiem w ręku, polujących na grubą lub drobną zwierzynę — artykuły — mającą upaść w rozstawione ich szpalty sieci.

Ofiarą tego pożądanego apetytu są szczególnie łagodne i potulne baranki — pisma prowincjonalne — które bywają doszczętnie zjadane przez wielkie i wspaniałe warszawskie organa. Weszło w obyczaj iż każdego dnia w menu warszawskich pism podaje się spory kawałek *Korespondenta Płockiego*, *Gazety Kieleckiej*, *Kuryera Lubelskiego*, *Kaliszanina*, *Tygodnia* z sosem lub bez sosu, stosownie do chwilowego gustu redaktora-kuchara.

Z tego materiału, który kosztuje tylko posunięcie ołówkiem czerwonym po papierze, powstaje codziennie dwie trzecie każdego „codziennego” warszawskiego pisma, do czego dołączyć jeszcze należy przedruk urzędowych wiadomości z *Dziennika*, przedruk

wiadomości bieżących z *Czasu*, *Kuryera Poznańskiego* lub *Dziennika Polskiego*, przedruk to jest prawie jak przedruk bo lekki przekład, wiadomości dotyczących gubernij Cesarstwa z pism rosyjskich.

Praca, jak widzicie, nieciężka, lecz dopełniwszy ją przełożonym feljetonem i przełożonymi wiadomościami politycznymi, powstaje „wspaniały” gmach „naszych wielkich, poważnych gazet politycznych”.

Lecz nie o to nam na teraz chodzi, ale chcemy zwrócić uwagę na fakt następujący. Każdy z warszawskich naczelnych redaktorów pism politycznych jest człowiekiem uczciwym. To fakt bezsporny. A jednak każdy z tych panów przez trzystakilkadziesiąt dni w roku, z pism od siebie uboższych i mniejszych wyławia dobro materialne. Żałować trzeba, że tym panom nie przyszło nigdy na myśl, że przedrukowując żywem *wszystkie lepsze* artykuły i wiadomości z dzienników prowincjonalnych, wyrządzają im przecież szkodę i tamują właściwe dla nich rozprzestrzenienie się między abonentami. Czyż nie jest to rzeczą naturalną, że szlachcic z gubernii Lubelskiej lub nawet mieszkaniec Lublina powiada sobie tak: po co ja mam trzymać *Kuryera Lubelskiego* albo *Gazetę Lubelską*, kiedy damy na to w *Gazecie Polskiej* (której redaktor reprezentant w prasie najbogatszej firmy bankierskiej w kraju jest zarazem najgorliwszym polawiaczem artykułów do przedrukowywania w szpaltach redagowanej przez siebie gazety) znajdę oba te pisma dzień w dzień prawie w całości przedrukowane? Toż samo powie sobie obywatel kaliski, płocki i t. d.

Coby też powiedziano, gdyby powstało u nas jakie pismo tygodniowe z zadaniem przedrukowywania wszystkich lepszych artykułów innych tygodników, chociażby z wymienieniem źródła, czyli, jak się to wyraża „ze zrobieniem” reklamy? Niewątpliwie pana redaktora pociągnęłoby przed kratki sądowe i skończyłaby się jego redakcyjna cudzym kosztem zabawa. Że nasze prowincjonalne baranki ciężką pracą znoszące złote runo warszawskim redaktorom, dotychczas nie upomniały się o swą krzywdę, to tylko dowód, że albo nie domyślają się naiwnie swych praw, albo nasze prawo prasowe nie przewidziało podobnego postępowania kolegów większych i grubszych względem kolegów mniejszych i cieńszych. We Francji panowie redaktorzy warszaw-

kurentów twoich, którzy z tobą mówią o miłości, kwiatkach, robią słodkie oczy, a z boku dowiadują się ile też papa uciulał grosza i jaki dostaniesz majątek? — Przeraża cię więc co? niezwykłość formy w jakiej się zapoznanie ma odbyć. No ale pomyśl, że i mój konkurent w niezwykłych znajduje się warunkach, że jest oddalony od kraju, że nie ma tutaj znajomych i nie chce się powierzyć wypadkowi, a pragnie własną założyć rodzinę, pragnie mieć gniazdo gdzieby mu współrodaczka była żoną i matką jego dzieci.

Ach zamysłasz się moja panienko — to dobry znak, pomyśl, rozważ — bo nie wszystko śmieszne co się takim wydaje na pozór.

Gazeta Warszawska wielkie wydziwiania robi, iż w pewnym miasteczku w gub. Wileńskiej żydzi zmówiwszy się niedopuszcili ani jednego chrześcijanina do rady miejskiej. „Tryumf „monery” parlamentaryzmu ustrojonej w jarmulkę, doprawdy zasługuje na bliższe obejrzenie i ocenienie” robi uwagę *Gazeta*. Lecz zapytamy się czyby pocziwa nasza Warszawska staruszka nie zechciała obejrzeć tych wyborców arcykatolickiego miasta Krakowa, którzy przy obecnych wyborach zmówiwszy się nie dopuszczili ani jednego żyda, chociaż szło tam nie o kapotowych parlamentarzystów ale o doktorów medycyny lub prawa, ludzi talentem, nauką i cha-

rakterem znanych ale wyznających prawo Mojżeszowe. Zresztą jeżeli w onem miasteczku większość żydowska wybierała według ustaw i niedopuszcila się nadużyć, to miała prawo wybrać samych żydów, którzy mogli zarządzać tak dobrze chrześcijanami jak chrześcijanie żydami na mocy „większości.” Ale widać z *Gazety Warszawskiej* wygląda jeszcze ciągle owa rogatywka „nie pozwalam” — jakim ongi każdy zuchwalec truł życie społeczne.

Urzednicy pracujący przy drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej smutnego doznali rozczarowania. Założono dla nich kasę zjednoczenia, instytucję bardzo obiecującą. Spodziewali się biedacy, że w chwili krytycznej znajdą pomoc, że wspólny grosz uratuje nie raz ich i rodziny od smutnego kryzysu finansowego. Tymczasem stało się inaczej, czego prawdopodobnie nie przewidziały osoby pracujące nad ustawą kasy.

Wiadomo, że według tej ustawy, urzędnik chcący zaciągnąć pożyczkę, winien przedstawić poręczenie dwóch kolegów, przyczem kto już sam pożyczyl, ten za drugiego ręczyć nie może. Otóż z zastosowania tych dwóch przepisów wynikło to, że obecnie pragnący zaciągnąć pożyczkę musi szukać poręczyteli z latarnią Diogenesa, a po-

mimo usilnych poszukiwań znaleźć ich nie może. Znaczna bowiem większość urzędników zapożyczyła się w kasie, inni zaś boją się ręczyć, ażeby w przyszłości nie spłacać cudzych długów.

W skutek takiego stanu rzeczy, niektórzy urzędnicy uciekli się do praktykowanego dawniej środka zapomogi, a mianowicie zanieśli do Zarządu prośbę o forszus dwumiesięczny, który nawet korzystniejszy jest od pożyczki w kasie zjednoczenia, choćby z tego względu, że pobierający nie opłaca procentów.

Zarząd na prośby o forszus dał odmowną odpowiedź, odsyłając proszących do kasy zjednoczenia, nadto zawiadomił wszystkich urzędników, że raz na zawsze znosi forszusowanie dwumiesięcznej z góry pensyi.

Tym sposobem spora ilość urzędników, dla których ufundowano wielce doniosłą i użyteczną instytucję kasy zjednoczenia, musi *nolens volens* udać się do instytucji — kieszeni lichwiarskiej.

A przyczyną tego jest nic innego, jak dwa rzeczony wyżej warunki, co do których należałoby zaprowadzić zmianę w ustawie. Czy ubezpieczenie wzajemne nie byłoby odpowiedniejszym? Czy zresztą w ostatecznym razie nie byłoby dosyć jednego poręczyteli, tembardziej, że ryzyko jest niewielkie i czy nie należałoby zarazem zu-

scy musieliby grubo zapłacić za praktykowanie podobnej metody. Uwaga, iż przedrukowywanie wiadomości jedna z drugiej przez gazety dzieje się i za granicą, wywołać musi z naszej strony grzeczne: nieprawda! Najprzód tam gazety szanujące siebie — a dużo organów tam się chce szanować — nie pożyczają sobie wzajem niestrawionych anegdotek i odleżałych nowości, a powtórę wystrzegają się przedruków, boby to dowiodło oczywiście abonentom, że są redagowane niedbale, że nie mają wiadomości z pierwszej ręki i szybko, od czego powodzenie pisma zależy. We Francji postąpiono jeszcze krok dalej; autorowie bowiem tworzą między sobą stowarzyszenie pilnie czuwające nad interesami materyjalnymi członków; każdy więc dziennik naraziłby się na proces ze stowarzyszeniem, gdyby się powążył cośkolwiek z innego przedrukować, bez nabywania do tego prawa u towarzystwa, które to prawo zyskuje się za opłatą dwustu czy trzystu franków rocznie. Pieniądze te idą zaś na korzyść chorobą dotkniętych, lub skutkiem wieku i nieszczęść niezdolnych do pracy autorów. To więc, co się nam wydaje z daleka dowolnością, jest uregulowane i przynosi jako prawo, szlachetne i godne zaznaczenia owoce...

Zdaje się, że ten przykład czasby było u nas naśladować.

Wiemy, że gazety codzienne nie mogą się obyć bez przedruków czy to ze swych kółłek bliższych czy dalszych, ale niechże to odbywa się w sposób przyzwoity, bez przynoszenia innym szkody i nie darmo, bo dziś na świecie tylko celkę w więzieniu mieć można bezpłatnie. Ograniczenie przedruków powinno koniecznie nastąpić, choćby na zasadzie i dzisiejszego prawa prasowego, które dozwala przedrukować tylko nie wyżej nad jedną trzecią jakiegoś dzieła lub artykułu. Gdyby, gruntując się na tym przepisie, jaka z gazet prowincjonalnych chciała się upomnieć u *Gazety Polskiej* albo *Wielu* o swe straty, to jesteśmy przekonani, że nawet przed krótkami sądu wygrałaby sprawę, bo że ją wygrywa przed krótkami opinii ogólnej, to ani chwili nie ulega wątpliwości. Przerwanie korzystania z cudzej pracy, wpłynęłoby nawet i na naszą prasę korzystniej, gdyż tym sposobem zmusiłoby organa nasze do pomnożenia kadrów współpracowniczych, przez co zwiększyłaby się z czasem liczba piszących, dziś za szczy-

plą na potrzeby prasy. Organa niedołężne, obecnie żyjące przedrukami, musiałby ustąpić albo się przerodzić, co w każdym wypadku tylko jest pożądanem.

Nareszcie naśladować francuskie redakcje przyslibyśmy do utworzenia pewnego funduszu dla nędzą i chorobą dotkniętych literatów, utworzenia go bez zebraniń i bez przeciążenia samych redakcyj, które w interesie własnym musiałby nabyć prawa czerpania pewnych wiadomości ze szpalt kółłek. Zapłacić *Gazecie Polskiej* lub *Warszawskiej* 100 lub 150 rs. rocznie za podobne prawo byłoby niczem, bo gdyby obliczyć przedrukowywane przez nie dziś wiersze, choćby po praktykowanej cenie 2 kop., wypadnie cztery do pięciu tysięcy rubli rocznie.

Podnosząc głos nasz w tym względzie, spodziewamy się że znajdzie on w oświeconym ogóle stosowną ocenę. Co do prasy dotkniętej, to drapując się i puszczając jak pęcherz, powie z pogardą: „To *Przegląd* nas napada swoim zwyczajem”. Nie, panowie! to nie *Przegląd* was napada, ale to się odbywa sumienie publiczne które woła: nie bierz tego co nie twoje! Zresztą na złe przynosimy lekarstwo już gdzieindziej wyprobowane; a trochę szlachetności i dobrej woli w jego zastosowaniu, powinno się znaleźć w charakterze tych, co stoją na czele publicznych organów prasy polskiej.

Bogusław Radziwiłł Koniuszy Litewski.

Szkic historyczny przez Bernarda Kalickiego.

Na tle dziejów wieku XVII, a mianowicie panowania Jana Kazimierza, wojen szwedzkich i następnych zamieszek, czarnemi barwami uwydatnia się postać magnata polskiego, w którym nie było ani iskry polaka, osobistości zubożonej sercem i myślą wyrodzoną, chociaż używającej polskiej mowy i noszącej imię polskie. Duma i interes własny na pierwszym stała u niego planie; dla nich gotów był poświęcić szczęście ojczyzny, gotów był zaprzętać się obcym, co też i uczynił. Tam dążył gdzie mógł o zyskać, gdzie potrzeba mu było mieć przyjaciół. Niestety, był on w części wiernym dziećciem swojego wieku. Wprawdzie nie wielu zaszło tak daleko, ale w całym ówczesnym społeczeństwie szlacheckim tkwił

pierwiastek ogólnej gnuśności, pewien stopień zdemoralizowania, źródło tych pierwiastków dezorganizacyjnych, które w przyszłości do smutnych bardzo doprowadziły rezultatów. Wprawdzie wiek ten zrodził Czarnieckiego, ale była to rzeczywiście jedyna prawie postać, godna nosić miano „syna ojczyzny”.

Typem był Bogusław Radziwiłł, takim go też przedstawia autor, kreśląc tę postać na tle dziejów ówczesnych, w których nader ważną odegrał rolę koniuszy litewski.

Bogusław był synem Janusza Radziwiłła kasztelana wileńskiego. Pradziadem jego był Mikołaj Rudy, który przeszedł na wyznanie kalwińskie i odtąd całe potomstwo wierze tej po większej części przez długi czas wierne pozostało. Trzy następne pokolenia Mikołaja w historycznej rodzinie Radziwiłłowskiej tworzą całkiem osobny ustęp, nacechowany przewództwem różnowierców litewskich. Był to ród, który uważał się za najpierwszy w całej Rzeczypospolitej i najpierwsze też dostojności uważał za przynależne sobie. Od czasów Zygmunta Augusta stali Radziwiłłowie ciągle na najwyższych w kraju świecznikach. Dumę rodzinną odziedziczył po przodkach Bogusław, tylko że oni byli jeszcze polakami, on zaś nie go-dzien był tego imienia.

Pan Kalicki opowiada dzieje swego bohatera od wczesnych lat, nie łącząc ich z dziejami kraju, dopóki Bogusław nie wystąpił na widownię polityczną. Opowiada szeroko jego pobyt za granicą, stosunki pokrewieństwa z książętami niemieckimi i inne warunki, które go uczyniły obojętnym dla kraju.

Gdy wstąpił na tron polski Jan Kazimierz bardzo życzliwy dla rodziny Radziwiłłów, Bogusław po dziesięcioletniej przeszłości włóczędze po świecie, wrócił do kraju. Bawiąc jeszcze za granicą w roku 1646 otrzymał przywilej na koniuszostwo litewskie, co było znaczną godnością. Później całe życie jego było współubieganiem się o różne dostojności i intraty najczęściej niepożytnym, co zrażało go do kraju i bardziej jeszcze popychało do zdrady.

Kilka drobnych usług, uczynionych krajowi zjednało mu z początku łaskę i hojność królewską. Lecz nadszedł rok 1655, gdy oprócz niezagojonej rany krzyżackiej, nowe nieszczęście nadeszło. Radziejowski ze Szwedami najechał Polskę, Bogusław popełnił pierwszy czyn haniebnej zdrady. Janusz Radzi-

pełnie usunąć warunek, że pożyczający nie może poręczać.

Dziwna rzecz, że ustawa pozwala temu kto poręczył następnie zaciągnąć pożyczkę, a temu kto zaciągnął pierwszej pożyczkę poręczać nie pozwala.

Kwestya ta, zdaniem naszym winna zwrócić na siebie uwagę kogo należy, gdyż w przeciwnym razie założona dla dobra pracowników instytucya stanie się martwą, a przynajmniej ani w częstce nie przyniesie tego pożytku, jaki przy odpowiednim urządzeniu mogłaby przynieść niezawodnie.

Skazany od pewnego czasu na niesłuszne zapomnienie Wit Stwosch p. Rapackiego, ukazał się na deskach letniej sceny, przyjęty sympatycznie przez publiczność, która zarażem objawami serdecznego uznania, witała pierwszy występ Królikowskiego po powrocie z letnich feryj.

O wartości tego dzieła w swoim czasie rozpisaliśmy się szeroko w *Przeglądzie* i dzisiaj widząc ponownie, jak piękność dramatu działa na publiczność naszą, żalować tylko musimy, że pisarz tego polotu, nieustający w twórczej pracy, nie ma sposobności potęgować swego talentu praktyką sceniczną po tak pięknych początkach.

W głównej roli dramatu, Królikowski tak jak dawniej wzruszał grą pełną głębokiej

sily uczucia i artystycznej szlachetności. Inni artyści jak i dawniej grali po większej części pięknie i skończenie. Rola Beaty, pierwszy raz przedstawiona przez pannę Deryng, przemówiła do nas serdecznym ciepłem uczucia i naturalnego wdzięku, a szanowną postać radcy Kohle'ra odtworzył także po raz pierwszy p. Stromfeld ze szlachetną godnością i uczuciem.

Wypracowania ładnym wierszem pisane przyniosły dotąd zwykle wielki zaszczyt uczniom gimnazjalnym, a których sława autorska w takim razie kończyła się w murach szkolnych; teraz zaś wśród poetycznej posuchy, prace tej kategorii zaczynają zyskiwać laury na konkursach dramatycznych. Przekonał się o tem niedawno słuchając *Uproszonych zalotów*, świeżo przedstawionej trzech-aktowej komedyi p. Kajetana Kraszewskiego, który za ten dyktancki utwór pozyskać zdołał drugą nagrodę na tegorocznym lwowskim konkursie. Ponieważ ów wyrok został oparty na sędzie publiczności lwowskiej, więc tym razem nie można podejrzewać, aby był on wynikiem jakich komitetowych faworów i tylko podziwiać należy roztropność amatorów sztuki w nadpółtawiańskim grodzie do podnoszenia popularyzacji na piedestał sławy. Jeżeli bowiem p. K. Kraszewski dostał nagrodę za *Upro-*

szone zaloty, to może mieć o to pretensję każdy, który potrafi wypowiedzieć gładkim wierszem historyjkę najpospolitszych wiejskich konkurów, w której wszystkie wchodzące figury mogą być wprawdzie blade, mdłe, mogą być wypchanemi frazeologią komunalną, aby tylko kapłała z nich poczciwość i nasze mościobrodziejowate safandulstwo. Cała treść komedyi p. K. Kraszewskiego w tem się zawiera, że gdy mazgajowaty paniczek nie może się zdecydować na małżeństwo z wiejską dzierlatką, jego papa pragnący tego małżeństwa, podmawia starego majora Gamrata, aby zalecał się do niej dla wzbudzenia zazdrości w limfatycznym wielbicielu. Manewr ten wywiera pożądaną skuteczną, ale panienka domyslać się podstęp, udaje że sercowy szturm majora trafił jej do przekonania.

Staremu wiarusowi uśmiechnęła się myśl uszczknienia w jesieni takiego kwiatuszka, więc bierze na seryo mniemany tryumf dopóki zręczna plotka pani klucznicy obgadującej swą pupilkę, nie zmusiła go do rejterady.

Aby treścią tak ubogą napelnić trzy akta, autor rozwodził ją w pustej i jałowej gadaninie, ubranej dość zrzęcznie w rymowaną szatę. Gdyby gadulstwo było przymiotem dzieł sztuki, *Uproszone zaloty* byłyby arcydziełem, gdyby niedołęztwo artystyczne da-

will poddał Litwę Karolowi Gustawowi. Akt ten haniebnym, gorszy od poddania się Wielkopolski, bo zrywający unię—podał oprócz Janusza dwóch dygnitarzy duchownych, przezeń namówionych, hetman polny Gąsiewski przemocą brutalną zmuszony, Bogusław Radziwiłł i inne mniejsze figury. Nadto Bogusław znosił się na szkodę swej ojczyzny z kurfirstem, elektorem brandenburskim, „wielce szanownym wujem swoim”, założycielem niezawisłego państwa pruskiego, zręcznym dyplomatą który zawierał przymierze zawsze ze stroną silniejszą, ażeby następnie łamać je w razie zmiany okoliczności na korzyść strony przeciwnej.

Po zwycięstwie warszawskim, król szwedzki z elektorem wrócił do Prus, a Bogusław na czele regimentów szwedzkich i w towarzystwie szwedzkiego generała-majora ruszył na Podlasie. Wkrótce zdradca dostał się do niewoli. Czy poniósł zasłużoną karę?—Nie!—Rzecz to napozór trudna do pojęcia. Potrafił on jednak obalamucić łatwowiernego hetmana Gąsiewskiego, dzielnego żołnierza lecz niebiegłego dyplomata i innych panów, rozpoczynając pozorne starania około powrotu do łaski królewskiej. Tym czasem korzystając z przyjaznej okoliczności, zbiegł i dostał się do elektora brandenburskiego. Tam przedstawiał się dwulicowo; Gąsiewskiemu donosił że działa na korzyść Polski starając się skłonić elektora do zawarcia z nią układu—a w samej rzeczy działając tylko na korzyść swego protektora. Rzecz dziwna! uwierzono zapewnieniom zdradcy. Rokowania wlekły się bardzo długo; elektor z Bogusławem kręcili jak mogli, wreszcie zawarty został fatalny w swych skutkach, korzystny dla elektora tylko traktat w Welawie, mocą którego elektor zwolniony został od zależności lennej. Traktat ten do którego przyczynił się wiele Bogusław, stał się podwaliną potęgę wroga dla nas zawsze monarchii. W chwili kiedy łatwo było zgnieść tę szkodliwą dla Polski potęgę, dzięki usiłowaniu zdradcy i swej niezaradności, polacy dali jej sami miecz do ręki, który później w ich serce ugodził. Słusznie powiada pan Kalicki, że „traktat welawski był nie tylko szkodliwym, ale był wprost rzeczą złą, dowodem wielkiej niedołęжности i będnie na zawsze wstydem Polski ówczesnej; wywołała go całej Polski gnuśność, lekkomyślność, apatya, upadek moralny całego narodu szlacheckiego,

który oddziaływał na postępowanie króla i jego doradców. Trudno było wielkich rzeczy dokonać z narodem, który chwiał się jak łan zboża wiatrem kołysany, który bez bitwy, bez sromu poddawał się znacznie liczbą mniejszemu nieprzyjacielowi, a kiedy się potem zerwał rozdrażniony okrucieństwem najeźdźcy, zaraz po pierwszym zwycięstwie jak pod Warszawą w r. 1656, wobec obozu nieprzyjacielskiego, rozbiegał się do domu aby spocząć na laurach i na nowo stolicę oddał w ręce wroga.”

Bogusław atoli najhaniebniejszą odegrał rolę w tym krwawym dramacie. Wpływ jego był dla kraju zgubny, a wpływ to był niemały. Wielkie musiał książę oddać usługi Fryderykowi Wilhelmowi, gdyż wnet po zjeździe w Welawie i po ostatecznym umówieniu warunków traktatu, w nagrodę swych zasług został „generalnym statthalterem pruskim”.

Mimo to łatwo pojednany z królem i ojczyzną, wrócił Bogusław do dawniejszego znaczenia w kraju; jednocześnie uciśkał prusaków, zrywając ostatnie węzły jakie łączyły ich z Polską i posłował na sejmach polskich.

Do ojczyzny miał on zawsze żal, uważał się bowiem za niedostatecznie wynagrodzonego za swe usługi. Żal ten spowodowały sprawy osobiste, a szczególnie sprawa restytucji dóbr odebranych na rzecz wojska za zdradę Januszowi Radziwiłłowi. Sprawa ta przez czas długi ciągnęła się niepomyślnie dla Bogusława, co go wielce bolało i drażniło.

Tymczasem wypadki polityczne zmieniły się u nas. W czasie zawarcia traktatu welawskiego położenie Karola Gustawa w Polsce było bardzo niepomyślne. Wyprowadziwszy przeciw Danii główne siły swoje, w krajach najejchanych posiadał załogi nieliczne, które połączonym wojskom elektora i Polski popartej przez Austryę żadną miarą oprzeć się nie byłyby w stanie. Energicznie prowadzona akcja w krótkim czasie mogłaby stanowczo wyprzeć Szwedów z kraju.

Lecz brak energii i dobrej woli stanął na przeszkodzie, a elektor z Radziwiłłem wciąż bruzdzili. Stojąc na czele armii brandenburskiej, Bogusław był tam zawsze gdzie go nie było potrzeba, gdzie go wzywano — pod różnemi pozorami nie zjawiał się nigdy. Oprócz wzięcia kilku okrętów szwedzkich, zabłąkanych na wybrzeża pruskie, nie

wsparł niczem działania armii polskiej. Słowem, postępował zdradziecko i rzecz dziwna, nie umiano jeszcze należycie ocenić i potępić jego niecznego postępowania. Były chwile, że od jednego kroku Bogusława zależało ostateczne zwycięstwo nad nieprzyjacielem; wtedy zdradca wykręcał się zrzeczeniem i kroku tego nie czynił.

Później zaczęto się już na nim poznawać w Polsce; szczególnie wywołało oburzenie nieczne jego gwałcenie praw pognębionych Prusaków; zaczął tracić przyjaciół i sprzymierzeńców, król już nawet ochłodził w afektach ku niemu; do jawnego jednak potępienia zdradcy nigdy nie doszło. Odmawiano mu tylko urzędów i dostojenstw, nie zwracano majątności, ale nawet usiłowania niechętnych usunięcia go z izby poselskiej były nadaremne.

Dalszy ciąg opowiadania zajmują dzieje stosunku Bogusława z kuzynką jego Anną Maryą Radziwiłłówną, z którą następnie wstąpił w związki małżeńskie i dzieje współzawodnictwa Radziwiłłów, a w szczególności Bogusława z mozną rodziną Paców o godności i dostojenstwa.

Wreszcie następuje czas elekcyi, w epoce której walczyły głównie dwie partye Radziwiłłów i Paców—i o ironio! Bogusław mało co nie został obrany królem polskim!...

Autor maluje nam w tem miejscu żywymi barwami obraz stosunków ówczesnych, gdy prywatna mięszała się zawsze do spraw publicznych, gdy walki stronnictw były współzawodnictwem znakomitych domów o pierwszeństwa w dostojenstwach, gdy sumienie narodu coraz bardziej zamierało.... W chwili, kiedy szło o sprawę największej wagi, o wybór przyszłego króla, o los całego narodu, kiedy nieunikniony zawsze sam z siebie załamał elekcyjny i tak już wszystkiemu zagrażał, naszym przemożnym rodzinom więcej niż o tego przyszłego króla, więcej niż o los i przyszłość narodu, szło o interes osobisty, o dogodzenie chwilowej fantazyi, o postawienie na swoim. Sejm elekcyjny był jednym z najhańsliwszych, najswawolniejszych, najjaskrawszych i najniekonsekwentniejszych—do czego przyczynili się niemało Radziwiłłowie.

Zawiedziony w swych oczekiwaniach, w gorzkim rozdrażnieniu i żalu po straconych nadziejach, umarł Bogusław nagle w d. 31 grudnia 1669 r. Pozostawił on po sobie bardzo ciekawy dokument, p. t. „Informacye

wało prawo do zasługi, niewątpliwie warte byłoby pierwszej nagrody na konkursie.

Wprawdzie znaleźli się u nas krytycy, którzy cieszyli się że komedia ta naiwnością formy przypomina owe czasy, gdy dramaturpia sceniczne stawiała u nas pierwsze kroki, ale rządząc się podobnemi sympatjami do wielkiego, pachnącego starzyzną niedołęstwa, powinniśmy prosić reżyserę, aby wprowadziła do repertuaru dawne misterye, przeplatane interludiami, aby poczęstowała nas scenami Rejowskiego *Żywota Józefa*, lub dała nam jakie *Rozmowy Kostery z pijanicą*, *Wyrwasa z Dikase*.

Nie winujemy autora którego powiastki i anegdoty z przeszłości naszej czytają się przyjemnie i mają literacką wartość, że po dyktandku napisał sobie komedijkę, niemając pojęcia o dzisiejszych wymaganiach techniki artystycznej, gdyż każdemu wolno gdy co lepszego nie ma do roboty, bawić się w swobodnych chwilach tak nieszkodliwą igraszką, jak fabrykowanie gładkich wierszy.

Nie znaczy to jednak, abyśmy chwalili usypianie artystycznego zmysłu smaku publiczności naszej przedstawianiem podobnych utworów na scenie, chociaż reżysera nasza wobec werdyktu konkursu lwowskiego, teoretycznie rzeczy biorąc, spełniła tym sposobem swój obowiązek.

Jedyną okrasą tej rozpaczliwie pocziwej i usypiająco pospolitej elukubracji, jest z pewną zamaszystością kreślona postać majora napoleońskiego, nieustraszonej jednak w całości i popsuta gadulstwem, oraz jego facecyjki i bajeczki napisane istotnie z Fredrowskim humorem.

Rola ta dostała się w szczęśliwe ręce, gdyż p. Rapacki artysta niepospolitej twórczej pomysłowości, chociaż grał już podobne role, musiał jej nadać całkowicie nowy charakter, tchnął w nią istotnie wojacką werwę i zawadyacką fantazyę i wskrzesił jedną z tych postaci, które stanowią żywe świadectwo przeszłości i znikają coraz bardziej z horyzontu naszego obyczajowego życia.

Nie chciała nasza muzykalna Warszawa podtrzymać znakomitej orkiestry Bilsego, ma więc teraz węgierską kapelę Rac-Pala. Nie chciała płacić za pięknie wykonywane symfonie i koncerty—ma za to świetnie grane ozardasze, mazury, polki i walce. Widać jednak podobały się warszawianom zamaszyste i krewkie madziarskie melodie i owa naturalna półdzika dziarskość i werwa, która kipi w każdym pociągnięciu smyczka i brzęknięciu cymbałów, stanowiących jak wiadomo, konieczną i nieodłączną podporę harmoniczną madziarskich melodji. Jak na początek bowiem, madziarom nieźle

się powodzi, tymbardziej, że każą sobie tylko 10 groszy taniej płacić, aniżeli orkiestra Bilsego, która ni mniej ni więcej trzy razy tyle liczyła członków.

Publiczność chodzi dość licznie, słucha ciekawie i klaszcze tak hojnie, że nawet lignicki dyrektor nie czułby się skrzywdzonym, otrzymawszy podobną dozę laurów publicznych. Warto tylko, aby panowie madziarzy zechcieli nieco obniżyć cenę o jakie 10 groszy od osoby, a wtedy nie tylko zyskają większą jeszcze liczbę chętnych zwolenników i nie narażą się na powtórzenie przysłowiowej piosenki: „Mościa pani Catalani, racz zaśpiewać trochę taniej”. Zarzutu tego nie można bynajmniej uczynić wędrowniej operze włoskiej pod dyrekcją p. Croti, która osiedliła się w Alkazarze, osieroconym przez gromadkę istotnie prowincjonalnych przedstawicieli dramatycznego kunsztu i wcale znośnie odśpiewuje szereg ulubieńszych oper włoskiego repertuaru. W stosunku do poziomu sztuki ogródkowej, ta wędrowną opera ma prawo do istotnego respektu, gdyż można jej słuchać wcale przyjemnie. Jej primadonna contr-alt, panna Bardelli, o ile można sądzić z pięknego wykonania takich partyj jak Azucena w *Trubadurze*, należy do talentów które mogłyby błyszczeć nawet na większych scenach, tak że trudno zgadnąć przyczyny, dla czego ar-

maite rzeczywiste potrzeby ogółu, dających lub pełniących to, co dla wszystkich jest niezbędne, to czego wszyscy potrzebują, czego potrzebuje cały organizm społeczny ale nie rosnące na nim brodawki, wrzody, trądy lub świerzby. Bo np. odciski nie pełnią żadnej organicznej funkcji, chociaż przeszkadzają żyć zdrowemu i spokojnemu życiu. A jednakże nie bacząc na to, że i odciski odgrywają *niejaką* rolę w życiu organizmu, któżby się odważył dowodzić że mają one prawo uważać siebie za członków organizmu, za partycję, za stronnictwo?

Po kilku tych uwagach przechodzę do bezpośredniego przedmiotu mojej pracy, do stronnictw, do partji czy wreszcie do klas społecznych. Zwykle wyróżniają klas tych trzy: *arystokrację, mieszczańską i chłopów*. Niedawno ogłoszono i odkryto klasę czwartą, *proletariat*, t. j. ludzi zgola nie posiadających, a pochodzących z rozkładu trzech poprzednio nazwanych klas, — klasę będącą raczej zaprzeczeniem wszelkiej klasowości, uogólniając je w sobie. Nie chodzi mi teraz o klasyfikację ludzi, dlatego pozostawiam bez uwagi różne poglądy na klasowość. Chcę zaś wskazać tylko cechy, przy pomocy których można odróżnić organa społeczne — stronnictwa od pasorzytów społecznych, lub organów szczątkowych.

Życie społeczne ujawnia w społeczeństwie, *pomijam tu wszelkie partje polityczne*, następujące stronnictwa życzące uznania i dążące doń: *panów* — arystokrację lub wielkich posiadaczy, *kapitalistów* lub w ogóle tych którzy kupują pracę ludzką w celu wyciągania z jej rezultatów pewnych dla siebie zysków, *duchowieństwo*, które uważam za stronnictwo mające wyłącznie społeczne cechy a nie polityczne lub jakiegokolwiek inne, np. prawne, administracyjne i t. p. i na koniec *robotników* wszelkich kategorii. (*Pytania o rzędzie, o państwie nie wchodzi w zakres mojej pracy, dlatego nie poruszam ich nawet jako postronnych, mało mających spólnego z życiem społecznym, we właściwym tego wyrazu znaczeniu*).

stawiał istotnie szerokie pole dla satyryki i dramaturga, ale autor nie oparł treści sztuki dość silnie na podstawach życiowej prawdy i że postacie wprowadzone do dramatu z małemi wyjątkami nie mają w sobie dosyć krwi i kości, że nareszcie budowa sztuki nie jest dość jasną i przejrzystą, aby ukazywało się z niej w całej pełni założenie artystyczne całości, przeto nie ma ona wartości wysokiego dzieła.

Swoją drogą dramat ten zajął publiczność dość żywo, dzięki umiejętności zaciekawiania i użycia efektów scenicznych, oraz kilku ustępom wzruszającym i podniesionym żywszą grą namietności. Więcej wykończenia i wyrazistości w rysunku figur, oraz prowadzeniu akcji, a utwór ten byłby wcale dobrą sztuką kasową.

Ktoś bezimienny, zapewne duch pokutujący, objaśnia w *Kuryerze Porannym*, iż wyschle na skwerze Nowomiejskim drzewka posadzone były w czasie niewłaściwym, gdyż w odpowiedniej porze niemożna tego było dokonać z powodu zajęcia placu pod stragan. Nic się jednak nie stało ważnego twierdzi duch pokutujący, gdy w miejscu suchych dostarczone będą nowe z ogrodów miejskich „bez żadnego kosztu.” Tym sposobem dowiadujemy się że płonki z ogrodów miejskich nie nie kosztują... kogo? panów ogro-

WALENTY

przez

EMILA ŻOLE.

Walenty jest to wysoki dwudziestopięcioletni młodzien, z rzemiosła stolarz, urodzony w samym centrum przedmieścia Saint-Antoine. Ojciec jego i dziad byli stolarzami. Wyrósł wśród wiór. Do lat dziesięciu grał w kręgle na trotuorach placu Bastylli, około kolumny lipcowej. Teraz nocuje w nędznej chałupie na ulicy La-Roquette, gdzie za dziesięć franków miesięcznie najmuje kąt pod dachem, w którym mieści się ledwie łóżko i krzesło; przytem chcąc wejść do łóżka trzeba nagiąć dobrze karku, aby głową o sufit nie uderzyć. Sam się pierwszy śmieje z swej nory. Zupełnie mu wszystko jedno, że niema książęcego mieszkania. Nie przyjmuje gości, przychodzi do domu o dziesiątej wieczorem, aby zaważyć się do łóżka, a o piątej godzinie zimą i latem jest już na nogach. Utrzymuje, że wtedy tylko gniewa go jego mieszkanie, gdy mu się uda zrobić jakąś przyjemną znajomość, gdyż nie może się zdecydować prosić do siebie damy.

Dobry to chłopak ten nasz Walenty! Pracuje jak wół, gdyż jest jeszcze młody i wierzy w pracę, przytem nie pijak i nie szuler jedną chyba tylko ma wadę: że za nadto jest kochliwy. Kobiety — to główny jego nałóg. Gdy z rana niedbale wodzi heblem, towarzysze śmieją się z niego i mówią, iż napewno widział się wczoraj z panną Lizą. Pochodzi to z tego, iż jedna ze znajomych Walentego nazywała się Liza, i w dnie w których opanowywało go lenistwo, zwykł był mawiać: „niech dyabli wezmą! robota nie idzie, widziałem się wczoraj z Lizą!” W szynkach przedmieścia zwą go „pięknym stolarzem.” Ma on dużą głowę z kędzierzawymi włosami. Tańcząc, zawija rękawy od bluzy — dla większej, jak powiada, dogodności, a właściwie aby pokazać swe silne ręce, które co do białości mogą iść o lepsze z kobiecemi rękami. Szczyci się też z swych zwycięstw. Zawrócił głowę najpiękniejszemu dziewczynom przedmieścia: wysokiej Nanecie, malutkiej Augustynce, grubej jednookiej Adeli i na-

wet intreligatorce Julii o którą pojedynkował się dwóch wojskowych. Co wieczór zwiedza on wszystkie sale do tańca, zajrzy tu, zajrzy tam, aby tylko popatrzeć czy nie spotka nieznanych mu ładnych dziewcząt.

Pewnego dnia wchodząc do *Ogrodu Flory*, sali do tańca przy ulicy Charogne, widzi on Klementynę szesnastoletnią kwiaciarkę, z zachwycającemi blond włosami, które ją otaczają w jego oczach, jak gdyby słonecznym blaskiem. Od pierwszego razu szalenie się w niej zakochuje. Cały wieczór się do niej zaleca i funduje jej wino *à la française*. Potem około godziny jedenastej, gdy Klementyna idzie do domu, odprowadza ją i naturalnie prosi o pozwolenie bywania u niej. Lecz ona wręcz odmawia. Powiada mu, że chętnie tańczy z mężczyznami na balu, lecz na tem koniec — i zamyka mu drzwi przed nosem. Na drugi dzień zasięga on informacji. Klementyna miała już kochanka który porzucił ją nie zapłaciwszy komornego za dwa kwartały. Wtedy przysięga sobie zemścić się na pierwszym mężczyźnie, który zrobi to głupstwo, że się w niej zakocha.

W ciągu następnych dni Walenty stara się ją złapać na ulicy i w obiadowej godzinie; gdzie może, wszędzie ją przesładowa.

— Dziś wieczorem przyjmiesz mnie, czy nie? zapytuje się śmiejąc.

Na to ona wesoło odpowiada:

— Nie, jeszcze nie, po niedzieli.

Co niedzielę spotyka się z nią w *Ogrodzie Flory*. Siedzi ona tam koło orkiestry. Chętnie wypija wino *à la française*, chętnie z nim tańczy, lecz gdy tylko chce ją pocałować, ona daje mu szcztuka, a gdy rozpoczyna rozmowę o tem, jakby oni sobie słodko razem żyli, odpowiada mu z zimną krwią, iż daremnie tak nalega, gdyż ona sobie tego nie życzy i nie przypada to jej do smaku. Tak się drażnią przez sześć tygodni, nie przestając się śmiać ani na chwilę. W końcu drugiego miesiąca Walenty staje się ponurym. Nie śpi w nocy w swej norze, pod dachem; duszno mu tam. Leżąc z szeroko rozwartemi oczami widzi przed sobą głowę Klementyny, której blond włosy jaśnieją jak słońce. Wtedy zaczyna trząść nim febra, kręci się więc do świtu, jak na rozżarzonych węglach, a na drugi dzień nie robi w warsztacie; wzrok jego błądzi bezmyślnie, narzędzie z rąk wypada. Towarzysze krzyczą: „zapewne widziałeś się

głównie w zbyt małej liczbie sędziów i w nieodpowiednim podziale miasta na oddziały, czyli tak zwane „uczastki”, odpowiadające cyrkulom policyjnym.

Obecnie wyższa władza rządowa postanowiła zapobiedz złemu. Z dniem 1 (13) października Warszawa podzieloną zostanie na 14 cyrkulów policyjnych i 14 odpowiadających im oddziałów sędziów pokoju.

Tym sposobem liczba sędziów pokoju zwiększoną będzie o 3.

DO WSZYSTKICH.

— P. Hlas. w *Połocku*. Woltera, p. Al. Świętochowskiego wystaliśmy Panu pod markami.

— P. Abr. w *Baku*. Powtórnie zapytujemy Pana co robić z nadesłanemi 5 rs., gdyż Ollendorffa metody są tylko dwie, francuska i niemiecka; Ordys francuska, pierwsza rs. 2 kop. 15, druga rs. 2 k. 40.

— P. Kłks. w *Kuźnicy*. Ark. 7 i 8 Jack'a t. III będzie dołączony w końcu miesiąca Września, przy Nrze 34 wystaliśmy tylko ark. 9—13 t. II i 1—6 t. III.

— P. Konst. P. w *Kijowie*. Po sprawdzeniu na pocztę, okazało się, iż wysłane pod rekomendowaną opaską dzieło D-ra Al. Świętochowskiego *O powstawaniu praw moralnych*, odebrane zostało w Petersburgu przez p. Stanisława P.

— P. Dłuz. w *Petrozawodsku*. Przegląd Leśniczy nie wychodzi już od roku—6 rs. wręczyliśmy redakcyi *Bluszczu*.

Wiadomo, że u niektórych sędziów pokoju wiele spraw zalega, z przyczyny zbyt niego nawału zajęcia, co dla stron bywało niekiedy rzeczą nader dotkliwą. Wina leżała

z panną Lizą." Niestety, nie widział się z panną Lizą i dla tego takie lenistwo go ogarnia. Trzy razy przychodził do Klementyny i na kolanach ją prosił, by go pokochała, lecz ona wciąż jedno powtarza: nie i nie, a on jak głupiec płacze na ulicy. Zamierza już położyć się przed jej drzwiami w sieni, ponieważ zdaje mu się, że będzie mu lżej gdy usłyszy lekki jej oddech przez szparę we drzwiach. Namietność ku temu dziewczęciu które by mógł łatwo zgnieść dwoma palcami, pozbawia go snu i apetytu. Nareszcie, pewnego pięknego wieczoru, idzie do Klementyny i proponuje jej małżeństwo. Tak dłużej trwać nie może, on umrze z tęsknoty; nie może żyć bez niej. Kwiatarkę jego oświadczenie niespodzianie zaskoczyło. Nigdy o tem nie myślała, ale prędko się zgadza. Mój Boże! ona go kocha z całego serca, lecz ileż łez przelała gdy poprzedni kochanek ją porzucił. A gdy mowa o tem, żeby się na całe życie połączyć, nie ma przyczyny mu odmówić.

Na drugi dzień idą razem do merowstwa, zasięgnąć informacji. Powolność procedury wprowadza ich w kłopot. Klementyna nie wie, gdzie znaleźć akt śmierci ojca. Walenty biega z jednego biura policyjnego do drugiego, szukając dokumentu, świadczącego o uwolnieniu go od służby wojskowej. Widują się teraz codziennie, razem się bawią, zwiedzają ogródki za miastem. Gdy wracają wieczorem wzdłuż długich ulic przedmieścia, nie do siebie nie mówią, tylko w milczeniu ściskają się za ręce. Serca ich pełne są radości, której nie są w stanie wypowiedzieć. Klementyna zaśpiewała raz Walentemu romans, w którym była mowa o księżycu, o domie z balkonem, o jakimś jegomościu, który jej ręce całował, a Walentemu romans ten tak się podobał, iż lży stały mu w oczach.

Wszystkie formalności zostały wypełnione. Wesela naznaczono na przyszłą sobotę. Odbędzie się ono bez żadnej ostentacji. Walenty chodził dowiadywać się o cenę ślubu do kościoła, lecz ponieważ ksiądz zażądał pięć franków, więc Walenty odpowiedział, iż można się bez tego obyć; Klementyna zawołała, że ślub w merostwie zupełnie jest dostateczny i ksiądz nie potrzeba. Z początku myśleli wcale nie urządzać wesela; lecz aby ich nie posądzono że się kryją, postanowili wyprawić piknik po pięć franków od osoby, w winiarni u Królewskich Rogatek. Zaproszono ośmnaście osób. Klementyna miała przyprowadzić z sobą trzy przyjaciółki, zamężne kobiety. Walenty zawarował cały pułk stolarzy i tokarzy z ich damami. Postanowiono zebrać się o drugiej godzinie po południu, aby można było urządzić spacer do obiadu.

Do merowstwa Walenty i Klementyna przychodzą tylko ze świadkami. Walenty dał do wyczyszczenia swój surdut, Klementyna trzy noce z rzędu reparaowała swą starą niebieską suknię, którą kupiła od przyjaciółki za dziesięć franków. Na głowie ma czepeczek z czerwonymi kwiatami. Jest tak przystojną ze swą bielutką, dziecięcą twarzyczką i puszystymi blond włosami, że mer po ojcowsku się do niej uśmiecha. Gdy przyszła na nią kolej powiedzieć "tak," czuje że Walenty trąca ją łokciem i pęka ze śmiechu. Wszyscy w sali się śmieją, nawet pisarze. Powiew młodości przebiega po złotych kartach kodeksu. Gdy przychodzi podpisać się na akcie, świadkowie gryzmolą. Walenty stawia krzyż, bo nie umie pisać, a Klementyna robi kleks. Do skarbniki wszyscy kładą po dwa su. Jedna tylko panna młoda, obszukawszy wszystkie kieszenie, daje na koniec trzy su.

O drugiej godzinie całe towarzystwo zebrało się już u rogatek Królewskich w handlu win, ztamtąd idą na spacer do fortyfikacji miasta. Potem mężczyźni urządzają

w rowie grę w ślepą babkę. Gdy który ze stolarzy złapie jakąś damę, natychmiast ją szczypie, a dama krzyczy, że szczypać się nie godzi, że to nie dozwolone. Całe towarzystwo pokłada się od śmiechu i tyle robi hałasu w tym cichym zakątku, że wystraszone wróble ulatują gdzieś daleko. W czasie powrotu ojcowie zmuszeni nieść na plecach po kilkoro dzieciaków, które ledwie wloką za sobą nogi. Wszyscy zresztą są jak z nóg zbici, co im jednak wcale nie przeszkadza zdrowo pracować zębami przy obiedzie. Każdy chce zjeść za całe pięć franków. Wszak za obiad zapłacono własnymi, krwawo zapracowanymi pieniędzmi. Nie można więc robić ceremonii. To też trzeba widzieć, jak się tam kości obgryzują — nie nie pozostaje na talerzu. Jeden tokarz zjada takie kawały chleba, że zdumieni garsoni kładą wreszcie obok niego czterofuntowy bochenek. Przy pojawieniu się tłustej gęsi na pieczone, około stołu podnoszą się krzyki zachwyty. Walenty, którego towarzysze chcą podpoić dla zabawy, rachuje bacznie wypite już kieliszki, lecz Klementyna, nieprzyzwyczajona pić wina bez wody, zaczerwieniła się jak piwonia i miele językiem jak sroka. Wszyscy są bardzo weseli; wszystko idzie jak najlepiej. Podczas deseru rozpoczynają się pieśni. Każdy śpiewa po kolei; w ciągu trzech godzin jeden kuplet następuje po drugim. Jeden śpiewa romans, gdzie jest mowa o Adryatyku, o doży i gondolach; drugi wykonywa komiczną szansonetkę i opowiada o figlach, które wino człowiekowi płata, naśladując przy końcu każdego kupletu pijanego; trzeci wreszcie śpiewa dość tłustą piosnkę, przy akompaniamencie dam, uderzających ze śmiechem nożami w szklanki. Lecz gdy przychodzi płacić, krzyk się podnosi. Właściciel winiarni żąda dodatkowej dopłaty, lecz nikt nie chce dać więcej nad pięć franków. Było umówione, że obiad będzie kosztował pięć franków — niema więc o czem mówić. Ponieważ właściciel handlu grozi, że zawezwie policyę, kłótnia przechodzi w bójkę i część gości przepędza noc w koście. Na szczęście państwo młodzi mieli rozum i wynieśli się na początku sporu.

O czwartej godzinie rano Klementyna i Walenty wracają do jej pokoiku, który myślą zamieszkiwać do terminu. Przeszli pieszo całe przedmieście Saint-Antoine, nie czując chłodu, gdyż biegli prędko. Gdy tylko koło drzwi się za nimi zamknęły, Walenty obejmuje Klementynę i pokrywa twarz jej niezliczonymi pocałunkami, z dziką namietnością, która śmieszy młode dziewczę. I ona rzuca mu się później na szyję i całuje go, ile ma siły, aby mu pokazać, że go kocha. Już świta, gdy się spać kładą. Kanarek Klementyny słodko szczebiocze w klatce u okna. Po nad wyblakłą kotarą ułożą, miłość unosi się w tym ubogim pokoiku.

Walenty i Klementyna rozpoczynają życie rodzinne z kapitałem dwudziestu dwóch su. W poniedziałek idą spokojnie na robotę, każdy w swą stronę. Dnie idą za dniami, przechodzi życie. W trzydziestym piątym roku życia Klementyna jest już brzydką; jej blond włosy przybrały brudno-żółty odcień, troje dzieci które sama wykarmiła, zjadły jej piękność. Kobiety prędko starzeją się od pracy w Paryżu. Walenty stał się pijakiem, czuł od niego wódkę; piękne ręce jego zgrubiały i schudły od pracy. Kiedy wraca do domu w dniu otrzymania zarobku, pijany i z pustymi rękoma, małżonkowie rozpoczynają batalię, wśród płaczu dzieciaków. Powoli żona przywyka szukać męża po szynkach, gdzie znajduje go pijanego za stołem i siada przy nim popijając absynt wśród kłębów tytoniowego dymu. Kocha ona jednak jak dawniej swego męża i przebacza mu częste pobicia. Została się uczciwą kobietą i nie można jej obwinąć, że

hula z pierwszym lepszym, jak to robią inne istoty. I wśród tego życia, napełnionego kłótniami i nędzą, w brudnym mieszkaniu, gdzie często niema chleba i ognia, do samej śmierci tych dwoje pijaków, powoli tracących ludzką postać, zdarzają się chwile, w których miłość zagląda przez dziurawą kotarę nad łóżkiem.

Kończę na tym przykładzie. Mówiłem już, że wszystkie małżeństwa podchodzą pod cztery powyższe typy. Staralem się tylko nakreślić ogólne zarysy. Należałoby je uzupełnić drugorzędami rysami ślubów w każdej z czterech klas społecznych. Tak na przykład u ludu, wielu rzemieślników przeżywszy siedm, ośm lat z kochanką, żeni się z nią w końcu, inni żyją na wiarę do końca życia, przyczem sąsiedzi nawet nie wiedzą, czy to małżonkowie, czy nie. Lecz szczegóły te zaprowadziły by mnie zbyt daleko, wolę więc przestać na ogólnych zasadach. Nim jednak skończę, chciałbym dodać kilka koniecznych rysów.

We wszystkich wsiach naszych wieśniacy bardzo praktycznie odnoszą się do kwestii małżeństwa. Mężczyźni żenią się z dziewczynami tylko wtedy, gdy ostatnie zostaną matkami. Kochankowie naznaczają sobie schadzki w polu, i nie uważa się to za nic zdrożnego, póki się dziecko nie urodzi. Należy dodać, iż rzadko się zdarza, aby mężczyzna nie zgodził się ożenić z dziewczyną, która przez niego została matką. W Normandii, Burgundii, a zwłaszcza w Pikardii zmieję zboże na polu nie wywołuje nawet uśmiechu u przechodniów: wszyscy wiedzą, że tędy przeszła miłość. Na południu Francji dziewczęta są mniej dowierające. Lecz, w gruncie rzeczy właścianie nasi są względnie bardzo moralnymi. Niesnaski rodzinne zdarzają się niekiedy między nimi, rzadko jednak można spotkać rozpustną kobietę w wieśniaczej rodzinie. W każdej wsi można napotkać dwie, trzy rodziny, które zeszyły z drogi prawdy, podczas gdy w miastach stosunek ten jest znacznie większy. Wieśniacy są bliżsi ziemi i instynktu; dziewczęta należą do pierwszego kochanka, lecz żony dochowują mężom wiary.

W prowincjonalnych miastach spotykamy też same cztery typy małżeństwa, które już opisałem, mówiąc o ślubach w Paryżu; tylko obyczaje i ceremonie są inne w każdej prowincji. Lecz małżeństwo z miłości trafia się wyjątkowo, a przeważają małżeństwa z rozsądku i wyrachowania. Na prowincji materyalna strona sprawy gra ogromną rolę. Znany jest tam stan majątkowy każdego mieszkańca; posagi panien są wiadome do ostatniej kopiejki, z drugiej strony towarzystwo zna się dobrze między sobą; młodym ludziom wiadomy jest kolor oczu u wszystkich panien. Ta z konieczności wynikająca zżyłość sprawia, iż ludzie są jeszcze ostrożniejszymi; zawierając małżeństwo, robią oni rozumie się interes, lecz przytem dojrzałe obmyślają całą sprawę, i ojcowie wydają swe córki za mąż z taką samą przezornością, z jaką pożyczają sto franków. Mówię tu o kwestii pieniężnej i kwestii przyzwoitości, gdyż uczucie i wychowanie nie grają przytem żadnej roli. Jedną okoliczność mnie zawsze mocno uderzała, a mianowicie, że rozpusta na prowincji silniejszą jest niż w Paryżu. Niedochowanie wiary małżeńskiej panuje tam prawie w każdym małżeństwie; skandale zdarzają się bezustannie. Być może, że w ciżmy społecznego życia, odgłos najblaszkiej intrygi miłosnej staje się głośniejszym. Ja jednak jestem więcej skłonny tem to objaśnić, że im silniejszą jest hipokryzja, tem więcej cynicznym staje się występpek.

Mam jednak w zapasie jeden argument przemawiający na korzyść małżeństwa

i z przyjemnością go przytaczam. Literaci i artyści żenią się w naszym wieku i kontenci są z swego losu. Istnieje cała teoria przeciw małżeństwu ludzi żyjących życiem umysłowym. Nieraz już powtarzano, że żona to mogiła talentu, że płomień twórcy gaśnie w życiu rodzinnym, że prawdziwie silny człowiek powinien żyć samotnie jak Mojżesz. Wszystko to są frazesy, obalone doświadczeniem. Nie chcę przytaczać imion w tak drażliwej sprawie, lecz ileż potężnych talentów nie tylko nie straciło po ożenieniu się swych twórczych sił, lecz jak gdyby czerpało je w małżeństwie. Idzie o to, iż wielcy pracownicy pojęli że aby uczynić zadość olbrzymiej produkcji, wymaganej przez naszą epokę, koniecznem jest prowadzić życie burżuazne, prawidłowe, konieczną jest praca systematyczna, rozdzielona podług godzin. Dalecy jesteśmy od tych szczególnych czasów, kiedy sądzono że dość jest roztworzyć okno poecie, by wleciało wien natchnienie i oświeciło jego głowę. Współczesny analizm, studyowanie rzeczywistego życia, ciągła walka z tłumem wymagają długotrwałej pracy i wytężenia siły w każdej chwili. Ot dlaczego tak dogodnem jest życie rodzinne. Wstawać rano i pracować wytrwale jak kramarz, lubić swe ognisko domowe i nie dopuszczać do niego bezmyślnego ulicznego szumu—oto najlepsze warunki do tworzenia arcydzieł.

Postanowiłem sobie nie robić wywodów, nie szukać jaką drogą można by było wzmocnić węzły małżeńskie, które widocznie z każdym dniem się więcej rozpręgają. Stwierdzam tylko, że w obecnej chwili jedyna siła małżeństwa polega w konieczności istnienia pewnych form społecznych. Żenią się dla tego samego powodu, dla którego robią testamenty, t. j. aby przyprowadzić swe interesa do porządku. Serce, miłość—w dziewięciu razach na dziesięć nie gra tu żadnej roli. Ogólna rozpusta podrywa małżeństwo, podrywa je również z każdym dniem wzmagający się protest przeciw tej prawnej instytucji, łączącej życie mężczyzny i kobiety w imię wspólnych interesów. Trzymam się tylko faktów i jednocześnie z niewieloma szczęśliwymi małżeństwami zwracam uwagę na straszną ilość przeniewierzeń się małżeńskich, na rodziny żyjące w prawdziwym piekle niesnasek, cudzołóstwa, wszystkich potworności prostytucji, która tak głęboko wstrząsa podstawy naszej cywilizacji. Ach, biedna ludzkość! ona tak dąży do spokoju, wymyśla najrozmaitsze tamy, by przeskodzić namiętnościom zatruwać życie ludzkie i sama następnego dnia obala przegrody, które dzień przedtem wystawiła.

Dokąd dąży dziewiętnasty wiek? Czego należy oczekiwać od dwudziestego? Być może, bóg miłości uśmiecha się, patrząc na nas i przygotowuje nam jakąś wielką jutrzejszą namiętność. Z początku miłość była bohaterką, potem zmysłową, w naszym wieku stała się pozytywną.....

KRONIKA KRAKOWSKA.

IV.

Budowlana faza w Krakowie.—Jak się to u nas i zagranicą odbywa. — Jeszcze kwestya sanitarna. — Potwierdzenie myśli wodociągów. — Restauracya Sukiennic. — Finansowa strona tego projektu. — Żydz się cieszą. — Uchwała rady miejskiej o fasadzie gmachu szkoły sztuk pięknych. — Kraków jako miasto emerytów. — Atmosfera jezuicka. — Księgarnia Dygasińskiego i wyrok prezydenta. — Dr. Zyblikiewicz i Harap. — Owacya ks. Zygmunta Golanowi. — Dyecezya biskupstwa Krakowskiego i obawy ultramontanów.

Zdarzyło mi się być przez kilka tygodni nieobecny w Krakowie. Przez ten czas zwiedziłem parę małych niemieckich stolic,

gdziem miał sposobność wtajemniczyć się w działanie miejskiej maszyneryi, której zawdzięczają one ład i porządek, oraz co za tem idzie, zdrowie, spokój i publiczne wygodę. Za powrotem więc na padoł krakowskiego bruku, jako człowieka już trochę nowego tem mocniej uderzyły wszystkie niedostatki mej rodzinnej siedziby, wszystkie wady zarządu pod czułą pieczę sławetnych ojców miasta.

Przedewszystkiem Kraków w obecnej letniej fazie z licznymi swymi mularsko-cieślarskimi robotami, wydał mi się źle urządzonej cegielnią, od której z płucami i nosem trzymać się jak najdalej wypada. Na wszystkich ulicach na raz, przy nowych budowlach sterczą sztandary zakopane w kupach piasku i stosach cegły; wszędzie kałuże wapna w których się kąpią wozy pełne kamienia, zwiru i belek. Kurz nieznośny obejmuje miasto jednym tumanem, a hałas, tartas, grube wymysły tak właściwe prostemu robotnikowi, napęniają ulice zwykle cichego grodu.

Cóż w tem złego? zapyta czytelnik. Zapewne, cieszyć się raczej trzeba, iż Kraków mimo położenia na uboczu od głównych dróg komunikacyjnych europejskich, zdobywa się na taką energię budowniczą — lecz dla czegoż się to wszystko odbywa z takim niedbalstwem, z takim lekceważeniem zdrowia reszty mieszkańców? Przecież w Paryżu burzą całe dzielnice a na ich miejsce stawiają nowe, lecz wszystko się to dzieje z możliwą cichością, z wszelkim porządkiem. Cegła, wapno i inne materiały dostarczane są na miejsce budowy w zamkniętych wozach, gruz ulega polewaniu przed wywózką; słowem, nikt nie cierpi w okolicy na rozpoczętą w sąsiedztwie fabryce. W niektórych miastach włoskich widziałem, iż domy restaurowane przy ludnych ulicach, opięte są matami, które zabezpieczają przechodniów od wszelkiej nieprzyjemności. Przepisy w tym względzie w miastach niemieckich surowo wszystkich obowiązują — i tylko w Krakowie, a podobno i w Warszawie, całkiem jest przeciwnie. Ale bo też nigdzie zdrowie ludności nie jest bardziej lekceważone jak w tych dwóch miastach, co tem więcej zadziwia u nas, że zarząd leży w rękach reprezentantów gminy, którzyby na własne zdrowie i życie nie powinni być obojętni. — Wszędzie w Niemczech pewne podstawowe kwestye jak dobra woda, dostarczana w obfitości, oraz usunięcie zanieczyszczeń, są przedmiotem na który zarząd najpierw zwraca uwagę, najpierwsze i najznaczniejsze mu poświęca fundusze. Wszędzie tak jest, tylko nie u nas w Krakowie. Wiadomo że kanalizacyę obiecywano po przeprowadzeniu wodociągów, na urządzenie których zaciągnięto milionową pożyczkę. Wodociągi były kwestyą pierwszej potrzeby dla Krakowa, gdyż miasto pozbawione jest miękkiej wody zdadnej do prania i gotowania pokarmów, a musi się ograniczać na studziennej twardej, tak że u nas nawet umyć się nikt nie może pocziwie. Wodociągi byłyby stanowczo poprawiły sanitarny stan naszego grodu, dużo zostawiający do życzenia. Lecz coż się stało z tą pierwszorzędną sprawą? Oto rada miejska ulegając lichej czułościowości i zamiłowaniu archeologii, utopiła fundusz pożyczkowy w budowie Sukiennic. Gdyby jeszcze w tej kwestyi uratowano pozory! ale z jakiegokolwiek ją rozberzemy strony, zawsze będzie ona dowodzić dziwnej lekkomyślności ciała, które z natury położenia powinno było być poważnem. Jeżeli weźmiemy na uwagę względ archeologiczny, to archeologia dowiodła, że tak nazwane Sukiennice Kazimierzowe nie wiele cegieł z Kazimierzowej epoki zawierają, że gmach w całości prawie w powodzi czasu przebudowania uległ tak co do materiału, jak i co do formy, że nie mówimy już o stylu. —

To też obecna odbudowa nie czyni całkowicie zadość temu warunkowi powrotu do Kazimierzowej pamiątki — i gdyby współcześni króla chłopków powstał z grobu i zobaczyli Sukiennice zrestaurowane według planu p. Prylińskiego, zostaliby mocno tym nowym gmachem zdziwieni. Zarzutu z tego budownicemu nie robimy, bo on wywiązał się z zadania jako mógł najlepiej, ale tylko wskazujemy, jak mylnem jest przekonanie tych, co uważają restauracyę Sukiennic za akt historyczności. Dla tego też co do nas, zgodzilibyśmy się chętnie z tymi, którzy radzili Sukiennice rozebrać, skoro tego rozsądek i bezpieczeństwo wymagały; plac, któryby był jednym z najpiękniejszych w Europie, pozostawić należało placem, a postawić na nim na rzeczy wieczną pamiątkę pomnik Kazimierzowi Wielkiemu.

Rozbierając kwestyę z punktu estetycznego, gmach Sukiennic pozostanie zawsze dziełem sztuki chybionem i nie mogącem uczynić żadnego korzystnego wrażenia. — Oświadczył to najzupełniej dobitnie taki znawca jak Viollet Le Duc, kiedy się go co do odbudowy Sukiennic radzono. I inaczej być nie może, gdyż z budowy pozbawionej wszelkich warunków piękna i najgenialniejszy artysta nic już nie robi. Za wielką to zasługę uważają p. Pryliński, że uwydatnił wszystkie rodzaje stylów tkwiące w gmachu, skutkiem przeróbek, jakim tenże ulegał. Tak może rezonować tylko zaciekle archeolog, ale nigdy tak się nie odezwie artysta. Może być dla pierwszego rzeczą nader rozczulającą, że z dwóch balkonów poprzecznych jedna facjata będzie w stylu ostrołukowym z epoki Kazimierza Jagiellończyka, a druga zachodnia, w stylu odrodzenia z końca panowania Zygmunta Augusta. Ale artysta wnet pojmie, iż gmach nie może zyskać na piękności przy podobnej mieszaninie stylów. Wprawdzie czasami eklektyzm w budownictwie zdobywa się na dzieła wdzięczne, ale to ma miejsce wtedy, kiedy artysta niekrepowany warunkami starej budowli i wymogami archeologów, swobodnie puszcza wodzę fantazyi i kieruje się poczuciem dobrego smaku i gustu. Z sądem o całości gmachu wstrzymać się jednak należy do ukończenia restauracyi, ale te części które się dziś już zarysowują, nie wróżą nic ciekawego. Podobno strona użytkowa gmachu nie będzie lepszą; sklepy zewnętrzne w podcieniach, zdaje się że zgrzeszą brakiem światła; szafowe sklepy wewnętrzne hali oby były tylko dość obszerne! Czy sala na piętrze oświetlona z dachu, a przeznaczona na wystawę malarską, będzie miała dość światła; czy większa, obok położona koncertowa, będzie dość akustyczna — o tem wszystkim dopiero z praktyki się przekonamy.

Najgorzej jednak przedstawia się podobno strona finansowa całej tej operacyi. Kolosalne koszty, jakie pociągnęła i pociągnie jeszcze zupełna rekonstrukcyja Sukiennic, mają się procentować i amortyzować dochodem z wynajmu sklepów i kramów; o te ostatnie mniejsza, ale czy przyrost tak znacznej ilości sklepów w rynku, będzie korzystnym dla tej części krakowskiego handlu, która w rękach chrześcian zostaje? Każdy z większych kupców chrześciańskich ma już dziś mniej więcej dogodną stałą siedzibę, której nie będzie rad zmieniać. Któż więc z chwili wypuszczenia sklepów w Sukiennicach zajmie takowe? Przybycia nowych kupców chrześciańskich nie ma się co spodziewać w Krakowie, którego handlowe znaczenie coraz mocniej podupada. Sklepy więc jeśli kto najmie, to żydzi, którzy się tu sprowadzą z odleglejszego Kazimierza; ale przymysłne plemię Jakuba pewno nie rzuci się do licytacji najmu w pierwszej chwili, lecz poczeka aż cena komornego przez magistrat zostanie obniżoną, co niebardzo pomyślne

rezultaty rokować może dla dochodów miasta. Czy zaś na podobnej konkurencji handlu żydowskiego dobrze wyjdzie handel chrześcijański, wnioskowanie zostawiamy czytelnikom.

Do takich to rezultatów doprowadziła miasto rada, dająca się zawsze powodować mniej właściwymi względami i względziki historycznego lub nawet niehistorycznego szowinizmu. Oto niedawno np. przeszła na wniosek hr. Tarnowskiego uchwała przez radę miejską, aby nie ścieśniać aprioricznie postawioną sumą komitetu budowy Szkoły Sztuk Pięknych, ale zostawić mu wolne ręce celem artystycznego przyozdobienia frontonu wznoszonego gmachu. Co za wspaniałe zaufanie! Szkoda tylko, że dotąd nie opłacało się ono nigdy radzie i że wykonanie różnych robót miejskich zawsze przekraczało półtora lub dwa razy zamierzony kosztorys! Trzeba się lękać, że to się powtórzy i przy budowie Szkoły Sztuk Pięknych.

Ale niech wiedzą wszyscy jak Kraków nie żałuje na sztuki, jak Kraków bogaty i hojny! Tymczasem zaś mogą krakowianie truć się wyziewami niezasypanej starej Wisły, mogą kiśnieć w powietrzu nieskanalizowanego miasta i pocieszać się tą błogą nadzieją, że za sto lat skoro się skapitalizuje dochód z Sukiennic, wodociągi urządzone zostaną. Rozumie się iż przy takim gospodarstwie, prowadzonym mimo wszelkiej logiki na wywrót, niepodobna jest zrobić z Krakowa, tego przyjemnego, czystego, cichego miasteczka, gdzie życie prowadzi się łatwo, tanio i gdzie osiada ludność szukająca wytchnienia po życiu mozolnem. W samej Austrii liczymy kilka takich miast jak Graz, Linz, Salzburg gdzie osiada mnóstwo emerytów, wycofanych z interesów kupców, przemysłowców i t. d. Kraków położony w okolicy pięknej, zdrowej, niezawodnie mógłby należeć do rzędu takich miast przyjemnych dla narodowości polskiej. Ale zły zarząd, zupełny brak sanitarnych urządzeń, przepisów i wykonania takowych co do publicznego porządku w dzielnicach przez żydów przeważnie zamieszkanych, drożyna skutkiem fiskalności miejskiej utrzymywana z jednej strony, a z drugiej jezuicko bigocka atmosfera moralna, robią z pięknego Krakowa najprzeczniejsze miejsce pobytu. Szpiegowstwo duchowne i co zatem idzie plotki i komeraże, jak robak przegryzają towarzyskie życie nasze, jak gady wciskają się w najprywatniejsze kółka i tam macą błogi każdemu spokój. Skwaszeni w życiu prywatnem, czyż możemy znaleźć dostateczną pogodę w stosunkach publicznych, wymagających łączności, której w towarzystwie rozbitem na koterye i partyjki niepodobna zaprowadzić.

Parcyalność jest też charakterystyczną cechą Krakowa i jeżeli nie należysz do jakiegokolwiek kliku — zginąłeś, gdyż nie tu więcej nie jest nienawidzonym jak samodzielność. Wszystkie partye i koterye które się szarpią najzawzięciej, łączą się jednak rade jeśli trzeba wystąpić przeciw człowiekowi samodzielnemu, lub też wyprawić publiczną manifestacyjkę jednemu z naszych... wielkich... podwawelanów. Oto trzy ciekawe na poparcie faktu. Przed kilku laty mieszkał sobie w Krakowie pół literat, pół księgarz p. Adolf Dygasiński, człek wyobrażeń postępowych i pragnący przez wydawnictwo uczonych dzieł w tym kierunku, przyczynić się do ogólnej oświaty społeczeństwa. Zgruntownem wykształceniem, z zasobem dobrych chęci a niewielkim kapitalikiem, wziął się do pracy i wkrótce z pod jęczących pras drukarskich ukazało się kilka dzieł pozytywistycznych: Darwin, Wundt, Peschel i inni. Przeraziło to wszystkie obozy krakowskie, a szczególnie ultramontański — udano się więc do p. D. z prośbą, aby zaprzestał swej postępowej działalności, a w takim razie je-

go interesa handlowe będą miały zapewnić protekcję wszystkich ludzi uczciwych, bo naturalnie tylko w tem stronnictwie są ludzie uczciwi i rozsądni. P. D. jednakowoż pragnąc być człowiekiem niezależnym, odmówił zadośćuczynienia żądaniom pobożnych filarów ultramontanizmu i przekonał się... czem jest to stronnictwo w Krakowie. Zastój w handlu księgarskim na dzieła pozytywne mógł na rynku krakowskim nie zdziwić, ale zastój ten dotykał firmę p. D. i w innych gałęziach literatury, choćby nawet najbardziej neutralnej. Słowem, omijano księgarnię jak zapowietrzoną, skutkiem czego własny jej kapitalik musiał się wyczerpnąć i przyszła doba chwilowej niewypłatności. Wierzyście, zwykle łaskawi, jakoś w tym wypadku okazali się nader twardymi, sklep został zamknięty i zapasy książek wystawione na publiczną sprzedaż. Lecz zjawia się konkurent do kupna księgarni, konkurent w osobie p. Bartoszewicza, syna zasłużonego naszego badacza dziejów; wchodzi on w układy z wierzyicielami, którym zabezpiecza ich udziały i pragnie wstrzymać marnowanie książek w publicznej sprzedaży po jedną dziesiątą wartości. Prózne zabiegi! pan prezydent miasta, Dr. Mikołaj Zybkiewicz, opiera się ponownemu otwarciu księgarni, zapewniając że i tak za wiele jest handlowi zadrukowaną bibułą w Krakowie. Więc p. Dygasiński, Bartoszewicz, wierzyście księgarni tracą niemałe sumy lub niemałe zyski. Nie przeszkadzało to jednak temuż samemu p. Mikołajowi D. rowi Zybkiewiczowi, wybieralnemu prezydentowi Krakowa, w parę tygodni dać pozwolenie na otwarcie księgarni żydkom, którzy zawiadomienie o tem rozesłali w wiedeńskim żargonie, gdyż głównie niemieckie szpargały wycofane z handlowego obiegu, propagować zamysłają na rynku krakowskim. W ogóle światły, bo doktoryzowany nasz prezydent, odegrał w ostatnich czasach kilka scen z tragi-komedyi, aż w jednej opinia jego nawet u najzażartszych stronników, poległa. Wychodziło sobie w Krakowie, przy wolności druku, humorystyczne piśmko *Harap*, niegdyś wydawane przez p. Bartoszewicza, a następnie pod redakcją p. Z*. *Harap* nie odznaczał się wcale wybitnym dowcipem, ale za to miał niepospolitą dozę śmiałości, bo aż zaczął o jakiejś rodzinie stosunki pana prezydenta. Stanowczo potępiamy tego rodzaju nadużycie humorystycznych czy niehumorystycznych organów, lecz gdy się ono trafi, to jedynym na to środkiem albo ucieczką do surowości prawa, albo, jeśli kto woli, osobista satysfakcja z jej skutkami. Ale Dr. Zybkiewicz obrał inną jeszcze drogę, za pośrednictwem bowiem policji kazał się zapytać czy p. Z* posiada w zupełnej formalności swoje paszporta. Ponieważ p. Z* nie był pod tym względem w zupełnym porządku, został więc zagrożonym wytransportowaniem z miasta i pozbawieniem chleba. Gdyby kara nastąpiła na mocy sądowego wyroku, wszystkoby było w porządku, ale uciekanie się do ekstradynaryjnych środków przez pana prezydenta musiało nawet jego stronników... zadziwić.

Nie przeszkadza to jednak, że p. D. rowi Zybkiewiczowi kiedyś, kiedyś wyprawioną zostanie gorąca owacja przez ogół podwawelskiego narodu, na podobieństwo tej, którą wyprawiono księdzu Zygmuntowi Goliańowi, administrującemu parafię Maryacką. O, była to chwila iście rozczulająca, kiedy w dziesięciolecie czy też inną rocznicę przybycia ks. Zygmunta do Krakowa, grono przedstawicieli „wszystkich stanów” otoczono cechami przy rozwiniętych chorągwiach i tłum pobożnych dewotek przynosił życzenia dusz pasterzowi i kaznodziei wymownemu. „Nieoczekiwany” ten zaszczyt wywołał „ulożoną uprzednio” mowę ks. Zygmunta,

w której zaznaczając swe niepowodzenia — zapewne na deskach teatralnych, a potem na ambonie pewnego miasta — dziękował krakowianom, że się tak dobrze na nim poznali. Lzy zgromadzonych, kwiaty, wonie, mieszały się z perłami wymowy, z okrzykami dzielnych chłopców od cechu, i szyderskim śmiechem, który jak echo odzywał się po uroczystości z ust każdego jezuity lub ultramontanina. O ile bowiem na oko wszyscy są przykładnie zgodni i pełni przesadnego dla siebie uwielbienia — o tyle klerykały krakowskie nienawidzą się wzajem i przeciw sobie intrygują. Obecnie kością niezgody, o którą toczą się jednak tajemne ale niemniej żaźarte boje, jest stanowisko biskupie. Jak wiadomo sławne i potężne przez całe wieki biskupstwo krakowskie nie istnieje; w kolei losów od końca zeszłego wieku z obszernej krakowskiej diecezji, która liczyła tysiąc parafialnych kościołów, wytworzyło się siedem innych (Spiska, Tarnowska, Kielecka, Lubelska, Podlaska, a w części Wrocławska i Włocławsko-Kujawska), a ona zesłała na 33 kościołów parafialnych. Rozumie się, że nielepiej się stało z ogromnym majątkiem biskupów krakowskich, tak że dziś nie ma szeląga na uposażenie naczelnika krakowskiego duchowieństwa. Mimo to wszelako czynią się ogromne wysiłki przez jezuitów, aby przywrócić jeżeli nie miniony blask stolicy krakowskiej, to przynajmniej zwykłą biskupią katedrę z jej pospolicą w Austrii gażą. Krakowowi, a raczej jezuitom, głównie idzie o to, aby móżdż się przeciwstawić lwowskiemu arcybiskupstwu i tym sposobem w swoje ręce zagarnąć jeśli nie cały rząd, to znaczną jego część w kościele. Biskupi innych stolic nie mają ani tej możności, ani tej powagi, co niewątpliwie miałyby ją następcy tyłu książąt kościoła, strażnik grobu S-go Stanisława, biskup krakowski. Jego wpływ mógłby walczyć skutecznie z innymi wpływami i oddać w ręce jezuitom krakowskim wszystko, co sądzą że się im należy. Zresztą i sama godność biskupia te natury chciwe zaszczytów i władzy mocno nęci, stanowisko bowiem administratora wydaje się im bardzo podrzędnem. Dwa tylko punkta na tle tej sprawy przerażają jezuitów; raz, że ministerium wiedeńskie silnie się opiera projektom, tłómacząc się brakiem stosownych funduszy dla uposażenia biskupstwa krakowskiego; drugi raz, aby obecny administrator ks. Gałęcki na to stanowisko nie został przeznaczony. Każdy tu z ultramontanów czuje, iż praelat zbyt jawnie zostający pod wpływem różnych Julek, Florek i tym podobnych „siuzecików niewieściech”, jest zbyt mocno skompromitowany, ażeby jakąkolwiek poważną rolę mógł odegrać. Zresztą wśród wesołych wieczerynek, wśród uroczystości, dawanych na cześć różnych żeńskich klasztornych i nieklasztornych pensyj, nie miałyby czasu i ochoty zajmować się nędznymi sprawami, walką o wpływ na rząd kościoła. Lecz kto będzie? kto siądzie na katedrze Szezebanowskich, Oleśnickich, Karnkowskich, Sołtyków? Oto kwestya, co rozpala piekielnym ogniem tutejszych praelatów i nie daje biedakom ani spokojnie trawić darów bożych, ani spać bez troski po lichem ich strawieniu.

KONGRES LEŚNY.

III. Przemysł leśny.

Lasy mogą służyć nietylko jako źródło z którego czerpiemy materiał na budowę i opalanie mieszkań, ale co więcej, przy stosownem utrzymywaniu gospodarstw leśnych można mieć jeszcze znaczne dochody, sprzedając produkty leśne, mające zastosowanie